Nr. 201. Lwów — Niedziela dnia 31 Sierpnia. Rok 1902.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: | E. 15 po Ś, Rajm. | Flora i Laura | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca o g. 5 m. 23 | Długość dnia godzin 13 minut 14
Jutro: | św. Idziego Op. | Andrzeja, Tekli | | | Zachód „ „ 6 m. 37 | Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Zamknięcie granicy węgierskiej

dla wódki galicyjskiej.

Nielojalne wykonywanie przez rząd węgierski sojuszu handlowo-celnego z Austryą jest od dawna już przedmiotem uzasadnionych skarg kupców i przemysłowców austryackich. Postępowanie bowiem rządu węgierskiego urąga nietylko kardynalnym zasadom słuszności, ale nadto wręcz sprzeciwia się wyraźnym przepisom ustaw, na których opiera się ugoda austro-węgierska. Mamy właśnie świeży dowód tego, a rozchodzi się tu o rzecz, która w wysokim stopniu krzywdzi nasz kraj, specyalnie zaś nasz przemysł wódczany. Sprawa ma się jak następuje: Rafinerye galicyjskie wysyłały dotychczas dość znaczne ilości spirytusu do Węgier. W ostatniej kampanii np. wysłały przeszło 250 wagonów. Wraz z opłatą podatkową przedstawia ten eksport wartość około 4 milionów koron rocznie, gdyż wagon spirytusu opodatkowanego kosztuje mniej więcej 15.000 koron. Zysk, jaki z tego miały rafinerye galicyjskie, był może niewielki, ale ogromnie doniosłe znaczenie miał ten eksport z tego powodu, że przyczyniał się do podtrzymania cen wódki galicyjskiej w obrębie Austryi.

Naraz ni stąd ni z owąd wydaje rząd węgierski zarządzenie, równające się zupełnemu zakazowi importu wódki galicyjskiej do Węgier. Oto bowiem z polecenia węgierskiego ministerstwa finansów rozesłały węgierskie władze skarbowe w kwietniu do wszystkich właścicieli wolnych składów wódki na Węgrzech rozporządzenie takiej treści:

„W myśl rozporządzenia król. węg. Dyrekcyi skarbu w . . . z dnia 2 kwietnia 1902 L. . . . zawiadamia się Pana, że wolno panu tylko spirytus prawidłowo do wolnego składu wwieziony i zapasy podatkiem konsumcyjnym obciążone wywieść do konsumcyi.

„Gdybyś pan atoli mimo tego zawiadomienia z u ż y t k o w a ł s p i r y t u s n i e p o c h o d z ą c y z w o l n e g o s k ł a d u w takim razie nietylko odebranoby panu koncesyę na wolny skład, lecz wdrożonoby nadto dalsze dochodzenia urzędowe.

„Ponieważ zaś licencya pańska opiewa na sprzedaż spirytusu en gros, pozwala się panu na sprzedaż zapasów opodatkowanych do dni 30 od dnia wystawienia niniejszego zawiadomienia. Kr. węg. komisaryat skarbowy w . . . . dnia . . . .“

Aby zrozumieć należycie skutki tego rozporządzenia, potrzeba objaśnić cały proceder hurtownego handlu wódką i obrotu tym artykułem między Austryą i Węgrami. Każdy właściciel rafineryi ma prawo utrzymywania t. zw. wolnego składu wódki. Od zapasów znajdujących się w takim wolnym składzie nie opłaca się podatku konsumcyjnego z góry, lecz dopiero wtedy, gdy się wywozi z niego wódkę do konsumcyi. Dlatego one nazywają się „wolnymi“. Gdyby bowiem rafinerye musiały opodatkowywać z góry wszystkie zapasy, jakie mają u siebie, a które dopiero kiedyś później sprzedadzą, potrzebowałyby dziesięć razy większego kapitału obrotowego, a przytem ponosiłyby straty także i z tego powodu, że musiałyby opłacać podatek także od tego spirytusu, który zanika czy to podczas transportu, czy też przez dłuższe leżenie na składzie. — Aż do roku 1899 istniał swobodny obrót handlowy między wolnymi składami wódki w Austryi a na Węgrzech. Nieopodatkowaną wódkę z wolnych składów w Austryi wolno było wprowadzać do wolnych składów węgierskich i na odwrót, a podatek płaciło się dopiero wtedy, gdy wódkę wywożono z tych składów do konsumcyi. Rozporządzeniem cesarskiem z 17 lipca 1899, wydanem na podstawie paragrafu 14-go za rządów hr. Thuna, wprowadzono tę zmianę, iż postanowiono, że tylko opodatkowaną wódkę sprowadzać można z Austryi do Węgier i na odwrót. Pomimo tej zmiany utrzymał się nadal eksport wódki galicyjskiej do Węgier, gdyż rafinerzy węgierscy, mogąc nieraz dostać wódkę w Galicyi taniej niż na Węgrzech, widzieli dla siebie korzyść w sprowadzaniu jej z Galicyi. Oczywiście wprowadzali oni ją nie do swoich wolnych składów, gdyż nikt nie będzie tak naiwny, aby wódkę, od której już raz opłacono podatek w Austryi, wprowadzać do wolnego składu na Węgrzech, gdzie trzeba ją jeszcze raz opodatkować,— ale trzymali ją, gdzie im się podobało i wprowadzali w handel, do czego mieli zupełne prawo, gdyż posiadają zarazem koncesye na hurtowną sprzedaż wódki, bez względu na to, skąd ona pochodzi. Naraz rząd węgierski odbiera im prawo sprzedawania wódki, nie pochodzącej z wolnego składu, a więc tem samem odbiera im możność sprowadzania jej z Galicyi. Stało się to niezawodnie skutkiem zabiegów potentatów węgierskiego kartelu wódczanego, na czele którego stoi fabrykant peszteński Wilhelm Leipziger, dla którego konkurencya wódki galicyjskiej jest bardzo niewygodną, gdyż, jak to mówią, „psuje mu ceny“.

Ponieważ handlarze węgierscy mieli jeszcze zakontraktowane pewne ilości wódki z Galicyi, a rząd, jak to wyżej podano, kazał im wysprzedać je do dni 30, przeto udali się oni do rządu z prośbą o przedłużenie im tego terminu, i ostatecznie dano im do 31 sierpnia br. termin do rozwikłania swoich zobowiązań w Austryi, po tym zaś terminie już bezwarunkowo nie wolno im sprzedawać wódki opodatkowanej, a więc galicyjskiej.

Wynika z tego jak na dłoni, że w tym wypadku rząd węgierski pod pretekstem ochrony własnego przemysłu w sposób nielojalny, rzec można podstępny, obszedł postanowienia ugody z Austryą i zaiste, gdyby ugoda ta miała być tak wykonywaną, to lepiej już nie mieć żadnej ugody, aniżeli na każdym kroku opłacać tylko haracz Węgrom i dać się im wyzyskiwać. Bardzo ciekawi jesteśmy, coby powiedzieli Węgrzy na to, gdyby rząd austryacki naraz zakazał sprowadzać mąkę węgierską do Austryi. Byłoby to zupełnie to samo, co teraz Węgrzy zrobili z wódką, a jeżeli już idzie o ochronę własnego przemysłu, to stokroć więcej powodów miałby rząd austryacki zabronić importu mąki węgierskiej, gdyż konkurencya młynów węgierskich zupełnie zniszczyła przemysł młynarski w Austryi, podczas gdy konkurencya 250 wagonów wódki galicyjskiej na Węgrzech wcale nie zaważy na szali.

Mamy nadzieję, że wszystkie interesowane czynniki ujmą się za naszym przemysłem wódczanym i zmuszą rząd, aby przy odnawianiu ugody z Węgrami postarał się o zniesienie tego krzywdzącego nasz kraj zarządzenia władz węgierskich.

Z obozu hakaty.

Sprawa używania języka polskiego na zgromadzeniach publicznych w Poznańskiem wywołała teraz żywe rozprawy w Niemczech, a to dlatego, że rozwiązywanie takich zgromadzeń przez miejscowe władze policyjne zostało uznane za nadużycie władzy przez najwyższy trybunał administracyjny.

Dyskusyę w tej sprawie otworzył profesor uniwersytetu w Bonn dr. Zorn, dowodząc, że prawa konstytucyjne nie mogą odbierać policyi obowiązku czuwania nad treścią rozpraw, a zatem nie mogą odbierać jej prawa żądania, aby zgromadzenia odbywały się w języku dla niej zrozumiałym. Profesorowi ani na myśl nie przyszło, że łatwiej jest urzędnikowi, urzędującemu w kraju z ludnością przeważnie polską, przyswoić sobie choćby z grubsza język miejscowy, aniżeli wszystkim Polakom, uczestnikom zgromadzenia, nabrać takiej swady niemieckiej, izby w języku tym mogli przemawiać i polemizować z tą werwą, jakiej polemika polityczna wymaga.

Przeciw głosowi dra Zorna wystąpiły głosy innych uczonych niemieckich, jak dr. Paalzow i profesor królewiecki dr. Hubrich, którzy pamiętają niece lepiej o tem, że wszelka nauka czerpie swą wartość w etyce. Nauka, urągająca etyce, lepiej aby nie istniała. Jednak wielu Prusakom, nawet bardzo uczonym, trudno o zjednoczenie tych pojęć.

Bo oto prof. uniwersytetu heidelberskiego, dr. Gerhard Anschütz, dowodzi, że najwyższy sąd administracyjny zupełnie zgodnie z istniejącem prawem orzekł, iż używanie języka polskiego na zebraniach politycznych jest dozwolone, ale pisze on dalej: „Sądzę, że prof. Zorn zwrócił się pod fałszywym adresem. Nie powinien ganić najwyższego sądu administracyjnego, który przecież spełnił tylko swój obowiązek, lecz raczej zwrócić się powinien do prawodawcy. Że walka przeciw Polakom i ich propagandzie wymaga dalszych upełnomocnień dla władzy administracyjnej, aby ona zaznaczyła swoją potęgę bardziej, niż to może uczynić na podstawie ustawy o stowarzyszeniach, oraz na podstawie innych dzisiejszych ustaw — to jest rzeczą bezsprzeczną. Skoro jednak prawo zwyczajne nie wystarcza, nie należy wahać się przed ustanowieniem praw wyjątkowych“.

A więc znowu ustawy wyjątkowe! Ciągle o nich tylko mówią i tylko je zalecają mędrcy i politycy „narodu panów“! W takim razie powinni jednak przedewszystkiem postarać się o wyjątkowe przepisy dla swej logiki, bo kiedy tak gorliwie zalecają wyjęcie Polaków z pod praw ogólnych, jednocześnie unoszą się nad dziełem swego uczonego dra Weissa, który w książce „Das Landgesetz für Irland“ udowadnia, że wyjątkowemi ustawami zepsuli Anglicy swój stosunek do Zielonej Wyspy.

Dawne rządy angielskie w Irlandyi były istotnie jak najfatalniejsze. Proletaryat dzierżawców irlandzkich, stanowiący przeważną część narodu celtyckiego, tchnął nieubłaganą nienawiścią do Anglosasów. Ziemia irlandzka należała do landlordów obcej wiary i pochodzenia, lud irlandzki wydziedziczony i tworzący masę prawie wędrowną, skazany był na wieczną nędzę lub emigracyę. Nie posiadał kultury, nauki, sztuki, ani znaczenia ekonomicznego, ani nawet języka. Dla państwa, dla cywilizacyi stał się wskutek wiekowej polityki angielskiej niemal zerem.

Tak było dawniej; dziś już tak nie jest. Anglicy poznali swe błędy i postanowili je naprawić. Celtyckiemu — zapomnianemu już — językowi przyznali wszystkie prawa w sądach, szkołach i na zgromadzeniach. Pomimo, że w całej Irlandyi straszliwie dokazywały „bandy księżycowe“, które mordowały Anglików i paliły ich posiadłości, nikt w Anglii nie pomyślał o upośledzaniu Irlandczyków w parlamencie, ani o odejmowaniu im praw politycznych, przysługujących Anglikom. Mężowie stanu spodziewali się, że wspólna praca prawodawcza złagodzi przeciwieństwa narodowościowe, przeistoczy i uszlachetni walkę. Wiek XIX dowiódł, że się łudzili, ale mimo waśni, coraz bardziej zaognionej, mimo O'Connella, a później Parnella, ani jeden głos poważny w Anglii nie odezwał się z żądaniem, aby z Irlandczyków uczyniono politycznych paryasów. Równość praw politycznych pozostała nienaruszoną i nikomu z angielskich mężów stanu nie przyszło na myśl odstąpić od tej kardynalnej podwaliny państwa nowożytnego.

Dawne rządy angielskie wytworzyły w Irlandyi kwestyę socyalną o charakterze agrarnym bardzo zaostrzonym. Lud irlandzki przejęty był nawskróś pożądaniem ziemi, której wcale nie posiadał. Oto, zamiast myśleć o ustawach wyjątkowych, oskarżono landlordów o wyzyskiwanie pracy ubogiego ludu i o dążność wyparcia go z ojczystych siedlisk skłanianiem do emigracyi. W 1870 i 1881 r. wydano nowe ustawy w celu uporządkowania stosunków agrarnych. Gladstone był głównym ich twórcą, a przewodnią jego dążnością było wymierzenie ludowi irlandzkiemu sprawiedliwości dziejowej, pozostawiając na uboczu wszelkie zadania, kolonizujące lub wynaradawiające Irlandczyków. Gdy Gladstonowi wyrzucała opozycya, iż daremnie się trudzi nad prawodawstwem irlandzkiem i zadowoleniem irlandzkiego ludu, bo wszelkie usiłowania okażą się zwodniczą iluzyą, odpowiadał z niewzruszoną pewnością siebie, że należy cierpliwie i wytrwale pracować dla dobra Irlandyi, a w prawodawczej działalności nie powinno się opuszczać ani na chwilę poczucia dziejowej sprawiedliwości. Żadna więc nienawiść, żadna podziemna, spiskowa agitacya, ani żadne stowarzyszenia i ligi narodowe nie zdołały sprowadzić nowej polityki angielskiej na manowce ustaw wyjątkowych, mających na celu upośledzenie Irlandczyków. Podwoje parlamentu otwarte są zawsze dla irlandzkich członków izby gmin, choć ich poprzedza reputacya nieubłaganych i jawnych wrogów Anglii. Równości praw państwowych nie lęka się bowiem w żadnym wypadku naród politycznie wyrobiony i umiejący cenić oraz rozumieć swobody konstytucyjne.

Jakże inaczej postępuje, jak inaczej myśli „naród filozofów“!

Spór o Morskie Oko.

Grac, 29 sierpnia.

Wczoraj, jak już podano, wygłosił obrońca węgierski Bölcs swój wywód. Była to mowa nacechowana tonem absolutnym, i starała się przedstawić żądania polskie jako czystą, nieuzasadnioną napaść na terytoryum węgierskie. Przytem p. Bölcs z zamiłowaniem używał zwrotu „Polacy, lub lepiej mówiąc, Galicyanie“. Twierdzenia strony polskiej nazywał uparcie twierdzeniami „arbitra austryackiego“, przeciwko czemu po jego mowie zaprotestował dr. Tchorznicki. Superarbiter Winkler oświadczył, że nie chciał przerywać p. Bölcsowi, ale w protokole zmieni to według słusznej uwagi dr. Tchorznickiego.

Obrońca węgierski głównie powtórzył argumenta, przytoczone przez arbitra węgierskiego. Wytoczył jednak także nowy dotąd nie wymieniony argument węgierski. Mianowicie w roku 1825 arcyksiążę Franciszek zwiedzał Tatry i Morskie Oko. Przed jego przyjazdem hr. Stadnicki, owoczesny prezes stanów krajowych, (tak, jakby dzisiejszy marszałek, ale nazywa go obrońca węgierski w dziwny sposób „hrabią nowotarskim“) daje znać komitatowi spiskiemu, prosząc, aby przyjął również członka domu cesarskiego przez wysłanie deputacyi. — Komitat uchwalił to uczynić na wniosek wiceżupana Ludwika Almassy'ego z tem uzasadnieniem, że Morskie Oko jest własnością barona Paloczaja. Obrońca węgierski wnioskuje, że gdyby hr. Stadnicki nie był przekonany, że Morskie Oko należy do Węgier, nie prosiłby Węgrów o asystencyę podczas pobytu arcyksięcia nad tem jeziorem.

W dalszym ciągu powiada p. Bölcs, że arbiter austryacki nie przedstawił żadnego dokumentu na dowód, żeby jakiekolwiek terytoryum za Białką (tj. Rybim Potokiem) należało do Polski. Co do dokumentów królów polskich Władysława IV, Jana Kaźmierza i ich następców, którzy nadania te potwierdzili, nie mają one żadnego znaczenia, ponieważ *penes Rybistaw* tłómaczyć można tylko przez „blisko, w pobliżu“. Natomiast Węgrzy przedstawili dokument Kokosza z r. 1320, dalej kontrakt sprzedaży dóbr niedzickich Paloczajom, co zdaniem p. Bölcsa udowadnia wiekowe posiadanie spornego obszaru w ręku Węgier.

Identyczność parcel, wpisanych w metryce Józefińskiej z dzisiejszym obszarem spornym — zdaniem p. Bölcsa — nie została udowodniona. Co się zaś tyczy stanowiska rządu austryackiego, zaznaczonego przez p. Tchorznickiego, że Austrya musi bronić granic kraju, przyjętego od Polski na zasadzie traktatu podziałowego z roku 1773 — niech najpierw rząd austryacki udowodni, na jakiej zasadzie wciągnął do posiadłości kamery nowotarskiej stok Żabiego. Mapa, wydana w państwowej drukarni węgierskiej w latach 1870 i 1874, jest — zdaniem Bölcsa — przedsięwzięciem prywatnem.

Literatura przytoczona przez p. Tchorznickiego, niczego nie dowodzi, bo podług zdania rozmaitych autorów nie rozstrzyga się procesu międzynarodowego. Na wywody o katastrze i opodatkowaniu oświadczył obrońca węgierski krótko, że trudno mu badać ich słuszność i że dopiero po obejrzeniu miejsca sporu, przedstawi o nich swoje mniemanie. Józefińskie pomiary były wogóle — zdaniem p. Bölcsa — zbyt niedokładne, aby na nich cokolwiek budować.

Położenie i własności fizyczne obszaru spornego — zdaniem p. Bölcsa — przemawiają za Węgrami, a o tem przekona się sąd na miejscu. Granica, żądana przez Polaków, gubi się w lesie, że jej ani znaleźć nie można. Mówca kończy, że obszar sporny musi się uważać za prawnie, bezwzględnie należący do Węgier, a stanowisko Austryi jest bezprawne.

Po przerwie piętnastominutowej zabrał głos prof. Balzer. Zaczął od teoretycznego wywodu o tem, jak powstają granice krajów. Powstają one: 1) przez układy państwowe lub krajowe na podstawie osobno wysłanych komisyj, albo na podstawie sądów rozjemczych, jak w wypadku dzisiejszym; 2) na podstawie podboju, wreszcie 3) na podstawie pokojowego osiedlenia. Tu mamy do czynienia z wypadkiem trzecim. Granica naturalna zaś idzie w takich razach tylko grzebieniem gór i to głównie wtedy, gdy możliwem jest dla kogoś zająć odnośny obszar. W tym wypadku możliwem to jest tylko dla Galicyi, dla Węgrów niemożliwą jest rzeczą objąć w posiadanie grzbietu Żabiego, bo nie mają do niego dostępu.

---

14)

Wrażenia z pielgrzymki do Rzymu,

przez

Annę W....ską.

(Ciąg dalszy).

Żyje się tu w Rzymie odrębnem całkiem życiem. Sama już atmosfera inaczej niż zwykle usposabia myślącego człowieka; tzw. il profumo di Roma to nie czcze wyrażenie, tylko— jest to niby zapach wieków, to coś nieuchwytnego, co promienieje z pomników, ruin, genialnych dzieł wszystkich wieków, z rozlicznych kościołów, relikwii świętych, cudami wsławionych miejsc i przesiąka niejako samo powietrze, którem się oddycha. Tu mimowiednie myśl się pogłębia, umysł rozszerza, człowiek widzi się mniejszym jeszcze niż zwykle atomem wobec tylu wieków, tylu wielkości, tylu geniuszów, tylu świętych — a zarazem czuje się większym, gdyż potomkiem i spadkobiercą całej tej wielkiej, dziejowej spuścizny, z której czerpie naukę, prawdę, siłę do życia a odwagę do śmierci.

Wrażenie to tem jest silniejsze, że nie pochodzi ono od ludzi żyjących — byłoby takie samo a nawet większe, gdyby nikogo w Rzymie nie było. Nie dzisiejsi to bowiem Włosi, chciwi i krzykliwi, nie dzisiejsi turyści, zapełniający wszystkie ciekawsze kąty, z czerwonymi Baedeckerami i wykrzyknikami zachwytu, ściśle w chwilach nakazanych przez gwiazdkę w książce, a nawet nie dzisiejsze procesye pielgrzymów, zmordowanych śpiesznem bieganiem po kościołach — przyczyniają się czemkolwiek do podniosłego wrażenia tego.

Samo już to miejsce jedyne na świecie wywołuje je.

Z hotelu naszego o parę minut zaledwie drogi miałam dwa arcymiłe przybytki modlitwy, a milsze jeszcze polskiemu sercu, gdyż uświęcone naszemi pamiątkami.

Na lewo w górę, za hotelem, na via Sebastianelli, kaplica OO. Zmartwychwstańców. Poprzedza ją ładny, pełen świeżości i woni ogródek, sama zaś pełna ciszy i zadumy usposabiającej do rozmyślań i modlitwy. Na bocznej ścianie wmurowano tablicę pamiątkową dla czterech szlachetnych i rozumnych założycieli Zgromadzenia, które było jakby wykwitem zacnej emigracyi naszej po wielkich, ofiarnych, lecz nieszczęśliwych wypadkach roku 1831, a nie mogąc orężem zdobyć wolności dla ukochanej Ojczyzny, pracą, modlitwą i nauką pragnęło przyczynić się do Jej duchownego Zmartwychwstania.

Byli to OO. Jełowicki, Kajsiewicz, Semeneńko, oraz świecki ich przyjaciel p. Jeński, a hasłem ich życia: Praca na chwałę Boga, pożytek Ojczyzny!

Ileż to Zgromadzeń, klasztorów, dzieł duchownych, powstało w tym okrzyczanym jako materyalistycznym i bezwyznaniowym wieku ubiegłym! W jednej naszej biednej Polsce ileż ich powstało, jak pomyślnie się rozwijają, a z jakim pożytkiem dla Boga i Ojczyzny pracują. Czyż to nie dowód głębokiej wiary, tkwiącej w społeczeństwie, a zarazem żywotnych sił narodu naszego? Wspomnę tu tylko mimochodem o Niepokalankach, Nazaretankach, Rodzinie Maryi, Józefitkach, Pelczarkach, Dziele brata Alberta, Zakładzie p. jenerałowej Zamoyskiej— a wszystkie one powstały siłą, energią, świętością pojedyńczych jednostek, odczuwających potrzebę chwili.

Z drugiej strony hotelu, wspaniałymi schodami z placu di Spagna, lub windą, prowadzącą na Monte Pincio, dochodziłam do klasztoru Serca Jezusowego, który zawiera cenną, a rzewną pamiątkę naszą. Wielki ten gmach o iście włoskiem patio (dziedziniec), z cienistą, w czworobok kolumnadą na arkadach, mieści w jednym z długich korytarzy pierwszego piętra cudowny wizerunek Matki Najświętszej, wzywanej przez naszą Polkę-męczennicę pod nazwą Matki Przedziwnej, skąd dzisiejsze Jej miano „Mater Admirabilis“.

Około roku 1844 młoda nowicyuszka Paulina Perdrau, władająca tylko słabo pędzlem, chcąc zająć powierzone jej pieczy uczennice, próbowała namalować al fresco na ścianie korytarza postać Matki Bożej w młodocianym wieku, w epoce Jej pracy i nauki w świątyni Jerozolimskiej. W paru godzinach powstała młodziutka, trzynastoletnia dzieweczka, siedząca na wysokim krześle z oczyma na pół przymkniętemi, w głębokiej zadumie — obok kwitnie lilia, a z drugiej strony kądziel i koszyk z robotą i książką. W głębi krajobraz. Praca ta jednak tak się nie udała, że przełożona postanowiła ją zniszczyć, by nie szpeciła korytarza. Zawezwany jednak murarz radził poczekać, póki farby nie wyschną, a uczennice prosiły o zatrzymanie malowidła — to też zostało ono na razie parawanem zasłonięte. Po jakimś czasie, przypadkowo, parawan ten usunięto — i cudowne zjawisko ukazało się zdumionym oczom. Kontury pozostały te same, te same błędy rysunku — lecz duch nadziemski owiał całą postać Madonny, a wyraz niesłychanej czystości i skupienia, promienieje z młodzieńczej, ślicznej twarzyczki, o spuszczonych źrenicach.

To prawdziwe uosobienie słów z *Pieśni nad Pieśniami*: „Ego flos campi et lilium convallum“ (jam jest kwiat pól i lilią dolin). To lilia, przemieniona w dzieweczkę. Takiego wrażenia nie zrobiła na mnie żadna ze słynnych Madonn wielkich mistrzów, spotykanych po muzeach. Tu każdy kolana ugiąć, a duszę podnieść musi — niewierzący przed ideałem czystości niewieściej — wierzący przed odbiciem choćby odległem Tej, której nigdy nie tknęła zmaza grzechu.

Jak tu dziwnie dobrze modlić się — jaką jasność, jaki spokój nieziemski zlewa fresk ten w duszę człowieka — jakie pragnienie oczyszczenia, podniesienia, oderwania od rzeczy stworzonych, znikomych, a jaki wstyd ziemskich brudów, choćby pyłu doczesności!

Myślę, iż kto często może spojrzeć na to malowidło, ten niełatwo w grzech popadnie.

Do roku 1846 nic o tym obrazie nie wiedziano po za murami klasztoru, gdy do Rzymu przybyła nieustraszona męczennica za wiarę Matka Makryna Mieczysławska i tu w klasztorze Trinita dei Monti gościnne otrzymała przyjęcie. Była ta przeorysza Bazylianek w Mińsku, wymęczona najstraszliwszemi tortury przez biegłych i doświadczonych w tych rzeczach Moskali, nie uległa brutalnej przemocy, lecz ze swemi mniszkami oparłszy się schyzmie, strachowi, torturom ducha i ciała, wierną pozostała opoce Piotrowej. Cudem zaś przetrwawszy to wszystko, sama jedna (towarzyszki jej bowiem życie w mękach oddały), przybyła do Rzymu, by tu swemi bliznami i sińcami wymownie zaświadczyć o krwawem prześladowaniu Kościoła przez Rosyę.

Modląc się codziennie przed młodocianym wizerunkiem Matki Bożej w korytarzu klasztornym, przepowiedziała chwałę, jaka obraz ten czekała, i cuda, które przy nim wkrotce dziać się miały, a w nocnej raz modlitwie obaczyła uśmiech promienny ku sobie zwrócony i usłyszała te słowa po polsku: Zwijcie mię „Matką przedziwną“ — i odtąd pod tem wezwaniem wzywała Polka-męczennica Niebieską swą Królową.

Wkrótce po przybyciu Matki Makryny przyjechał do Rzymu misyonarz X. Blampin, który wskutek kilkunastoletniej gorliwej a ciężkiej pracy wśród dzikich ludów Oceanii, stracił zupełnie głos i od sześciu miesięcy na bezczynność skazany pomimo rad różnych lekarzy i rozlicznych leków.

Będąc w Rzymie chciał on oddać cześć męczennicy naszej, a stanąwszy przed matką Makryną pisze na tabliczce, którą, nie mogąc mówić, zawsze miał przy sobie, jak bardzo pragnie głos odzyskać, by módz jeszcze Bogu służyć, głosząc Ewangelię Jego wśród dzikich plemion. Tu była przeorysza, nic nie mówiąc, bierze go za rękę, prowadzi przed wizerunek Matki Przedziwnej, pada na kolana i błaga Ją o przywrócenie mu głosu. W tej samej chwili X. Blampin z najwyższą radością donośnym głosem Matkę Bożą wielbi i za łaskę dziękuje, a na pamiątkę cudu tabliczkę swą z dokładnym opisem tegoż u Jej stóp zawiesza.

Nazajutrz pierwsza ofiara Mszy św. złożona tu została przez cudownie uleczonego kapłana, a od tej chwili niezliczone łaski widome i niewidomne oku ludzkiemu — uzdrowienia ciała i duszy zlewa ta prawdziwie Przedziwna Matka.

Ściany całe pokryte exvotami, a na białym ołtarzu, w formie stołu, by nie zakrywał świętej postaci, kilkanaście Mszy św. codziennie się odprawia, gdyż nie ma kapłana przejeżdżającego przez Rzym, któryby nie pragnął złożyć tu ofiary św.

Wśród kwiatów, nad błyszczącą koroną, którą Papież Pius IX włożył na tę cudowną nadziemską głowę, jaśnieje drogi nam polski napis, wezwanie Matki Makryny: „O Matko Przedziwna“, na znak, iż to na prośbę naszej męczennicy, pierwszy cud niebo tu zdziałało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tu przedstawił mówca wypracowaną przez wojskowo-geograficzny instytut mapę p. t. „Detail-Karte des Tatragebietes“ z lat 1896 i 1897. Węgrzy nie wiedzieli o istnieniu tej mapy, a mówili, że gdyby im taką pokazano, toby nie przeczyli. A tu prof. Balzer mapę taką pokazuje. Mapa jest korzystna dla nas, uznaje tylko „suchą“ granicę.

Wedle nowych zasad nauki — ciągnął dalej prof. Balzer — ogółem rzeki nie tworzą granic naturalnych. Sucha w tym wypadku granica jest słuszną, bo utworzona w ten sposób granica łączy sporne terytoryum w zupełnie naturalny sposób z dalszą naszą ziemią; gdybyśmy przyjęli za granicę „mokrą“, to dałaby ona Węgrom to sporne terytoryum, które w żadnym naturalnym nie pozostaje związku z resztą ziemi węgierskiej. Na poparcie swych twierdzeń cytuje dalej mówca liczne dzieła, jak: Francuza Cretiena, Niemca Lista, Francuza Bryego, Rosyanina Martensa, dalej Ullmana, Gareisa, Pflügera i wielu innych.

Superarbiter Winkler dokładnie zapisywał sobie tytuły cytowanych dzieł.

Prof. Balzer powołał się dalej na dzieło Ratzla „Antropo-Geographie“. Ów uczony powiada, że „mokra granica“ jest raczej przeciwną naturze niż jest naturalną, bo rzeki nie są po to, aby ludzi dzielić, ale po to, aby ludzi łączyć“. — „Granice mogą tedy iść tylko szczytami gór“. Mówca podnosi, że granice rzeczne u nas powstały tylko przez biurokratyczny szablon. Tak Wisła stała się granicą polsko-rosyjską, tak umówiły się z sobą rządy, ale przecież w Polsce Wisła była nie granicą, ale leżała w środku kraju.

Mówca charakteryzuje metodę „obrony“, jakiej się trzyma rząd i arbiter węgierski. Powiadają oni np.: W XVII wieku Polska nie mogła posiadać spornego terytoryum, bo w wieku XIX sołtysi mówią, że ono należy do Węgier. Takiej metody używać nie wolno. Nie wolno przekręcać i przestawiać dat chronologicznych, bo w ten sposób rzeczy się nie wyjaśnia i owszem czyni się ją niezrozumiałą i zupełnie zaciemnia.

Co do dokumentu z r. 1320, na który powołał się obrońca węgierski, powiada prof. Balzer, że p. Bölcs tylko ogólnikowo wspomniał o tem, niechże coś więcej powie o tym dokumencie i na mapie tę rzecz wyjaśni. Na pytanie dr. Winklera, oświadcza p. Bölcs, że nie zamierza tego uczynić. Wówczas prof. Balzer sam rzecz wyjaśnia, wykazując mylność twierdzeń węgierskich. Gdy prof. Balzer znowu później zadawał pytania Węgrom, rzekł dr. Winkler: „Panie profesorze, ma pan prawo tu przemawiać, a nie interpelować. Nie może pan zmuszać strony przeciwnej do odpowiadania, gdy ona z własnego popędu tego uczynić nie chce“.

Następnie wykazywał prof. Balzer na podstawie dokumentów z r. 1554 i innych, że własność polska w Tatrach o wiele dalej sięgała na południe, aniżeli to przyznano ze strony Węgier. Spór o posiadanie omawianego terytoryum trwa już od r. 1580. W czasie od r. 1580 do r. 1625 interesowane dwory wymieniły w tej sprawie liczne listy. Mowca odczytuje dwa pisma cesarza Fryderyka II-go do króla Zygmunta III go, które zawierają życzenie rychłego zakończenia tego sporu. Twierdzenie Węgrów, iż sporne terytoryum w X stuleciu do nich należało i że i dziś Węgry mają do niego prawo, jest bezpodstawne, gdyż strona austryacka jest w stanie dowieść, aż do XII stulecia, że dotyczące terytoryum było w posiadaniu Królestwa Polskiego.

O godz. 1 przerwano rozprawę do godz. wpół do 5 popołudniu. Na popołudniowem posiedzeniu prof. dr. Balzer przedłożył dowody na to, że sporne terytoryum w czasie od roku 1624 do 1669 nie było w posiadaniu Węgier. Są to mianowicie dokumenty nadające terytoryum sporne sołtysom z Nowego Targu. Następnie wykazywał mówca na podstawie józefińskiego katastru, że obszar sporny jeszcze i później w XVIII stuleciu znajdował się w posiadaniu polsko-galicyjskiem. Od dowodów na podstawie dokumentów przeszedł mówca do dowodów na podstawie literatury i podzielił ten dowód na negatywny, tj. że w węgierskich dziełach „Jezioro Czarne“, a więc i sporne terytoryum, nie są oznaczone jako węgierskie, i na pozytywny, tj. przytaczając dzieła takie, które terytoryum sporne nazywają wprost galicyjskiem. O godz. wpół do 7-mej odroczono rozprawę do dzisiaj 10 rano.

Echa z wód.

Truskawiec, 27 sierpnia.

Tegoroczny sezon truskawiecki przyniósł świetne poprostu rezultaty. Liczba kuracyuszów, którzy się tu przewinęli, przekroczyła z górą liczbę 4000. Mieszkania aż do niedawna były przepełnione, a brak dostatecznej ilości wanien dotkliwie odczuć się dawał. Od lat ostatnich siedmiu obecny Zarząd zakładu nie pamięta tak „złotego roku“.

Gdzie szukać przyczyn tak widocznego powodzenia?... Chyba nie w technicznych urządzeniach zakładu jako takiego. Boć przecie tak zwanego „Kurhausu“ naprawdę tu nie ma, gdyż wysługujący się w tym charakterze zgrzybiały, z trudem reperowany staruszek, na to miano zasługiwać nie może. Przyzwoitych wanien porcelanowych jest tu tak skąpo, że aż podziwiać trzeba świętą cierpliwość kuracyuszy, z jaką te wszystkie braki znoszą.

Widocznem jest tedy, iż powodzenie Truskawca opiera się na cudownych po prostu leczniczych własnościach jego źródeł. Tzw. „Naftusia“ jest unikatem w całym świecie, gdyby ją posiadali Niemcy, byliby z niej zrobili ósmy cud świata. Inne źródła jak: „Zosia“ i „Marysia“ — jak skonstatowały najznakomitsze nasze powagi lekarskie,—nie tylko dorównywują Nauheimowi i Marienbadowi, ale w pewnym względzie nawet je przewyższają.

Niedziwne więc, że ludzie chcący się naprawdę leczyć, zamykają oczy na wszelkie tutejsze niewygody i usiłują nawet robić dobrą minę w złej grze. Sytuacya jest dla nich o tyle przykrzejszą, iż dzierżawcy, trzymający jeszcze w tej chwili Truskawiec, wstrzymali naraz w tym roku seryę hojnych inwestycyi, któremi dotąd Zakład raczyli i nie mając pewności, czy utrzymają się przy dzierżawie po upływie lat trzech, jakie im jeszcze pozostają z kontraktu, nie mogą chyba myśleć o jakichś wkładach, owszem starają się z całą forsą zamortyzować wkłady, jakie tu poczynili. Jeżeli się zważy przytem, że właściciele Truskawca, jako tacy, ani centa nie chcą zapreliminować na inwestycye, zrozumiałą będzie zupełnie rzeczą, dlaczego zakład jest zmuszony przeżuwać jeno swoje stare dawne, sięgające zresztą tylko roku 1895 czasy, a to znaczy tyle, co nieznacznie starzeć się, upadać. Takie *status quo ante* mści się, i to wyłącznie na kuracyuszach.

Wierzyć należy, że stosunki te poprawią się z chwilą, gdy Truskawiec otrzyma własną stacyę kolejową (a stanie się to już w przyszłym roku), właściciel zaś jego (a jest już nim wyłącznie hr. Żółtowski, zięć księcia Adama Sapiehy) zdecyduje się na tę lub ową stronę. Jeśli obejmie Zakład we własny zarząd, zapewne porobi inwestycye, których brak jest już rozpaczliwy, jeśli znowu przedłuży kontrakt z dzierżawcami, zapewne zobowiąże ich do tych wkładów, jakie mu są z pewnością znane.

Tymczasem kuracyusze cierpią, czekają zmiłowania Bożego i leczą się, jak mogą. Sezon III na dobre się rozpoczął, kuracyuszy jest jednak bardzo pokaźna liczba. Pogoda prześliczna stale dopisuje, a swobodny dostęp do wanien i źródeł, uwolnionych od ścisku, umożebnia systematyczne i racyonalne tem samem leczenie.

Na ogół ruch towarzyski i artystyczny był w miesiącu sierpniu ogromny. W przeciągu dwóch niemal tygodni odbył się przy wyprzedanej sali koncert śpiewaka Ludwiga i deklamatorki Arkawinówny, dalej przedstawienie amatorskie trzech jednoaktówek na dochód Towarzystwa Szkoły ludowej, dalej koncert śpiewaczki Kozłowskiej i pianistki Kowalskiej, wieczorek Fiszera i „wieczór artystyczny“, urządzony staraniem księżny Teresy Sapieżyny, na dochód tutejszej ochronki „Służebniczek“ ruskich. Uzyskano 190 złr. Duże powodzenie uwieńczyło też bal na dochód powstańców z 1863, urządzony pod protektoratem księżny Adamowej Sapieżyny. Dochód okrągły 270 złr. przesłano kasie emerytalnej tego Towarzystwa.

Zdaje się, że Fiszer swym poniedziałkowym wieczorkiem już zakończył seryę tegosezonowych produkcyj artystycznych, którym zresztą towarzyszyło stale zupełne powodzenie artystyczne, a co ważniejsze, kasowe. Nieznacznie Truskawiec stanie się Eldoradem dla wszelkich śpiewaków i artystów płci obojga. Publiczność tutejsza nie ma istotnie na swem sumieniu ani jednego wieczoru artystycznego, któregoby nie poparła swem skutecznem i tłumnem przybyciem.

Książę Adam Sapieha, który tu przybył przed dwoma tygodniami, czuje się zupełnie dobrze, do tego stopnia, że opuszcza wózek, w którym dotąd stale przebywał i wyjeżdża na dalsze spacery powozem.

Ogromne współczucie towarzyszy przybyłemu tu dla kuracyi p. Tadeuszowi Pilatowi, któremu bardzo niebezpiecznie zaniemogła córeczka, tak, iż zachodzi niebezpieczeństwo życia. Lekarze jeszcze do tej chwili nie zdołali nic stanowczego orzec o jej stanie.

Garść tych wiadomości z Truskawca kończę wezwaniem do Zarządu, aby postarał się na najbliższy sezon o konieczne rozszerzenie deptaku, w dotychczasowych swych rozmiarach stanowczo za małego i o zaprowadzenie jakiejś mleczarni, której brak tu stanowczo odczuwać się daje.

Co i o czem piszą.

Z powodu jubileuszu pani Maryi Konopnickiej wywiązały się w całej Polsce spory o to, o ile w literaturze wolno bez bluźnierstwa skarżyć się na Boga. Przeważa zdanie, że tam skarga nie jest bluźnierstwem gdzie jest cierpienie. Bo istotnie, któż nie zna cierpienia? I któż nie zna potęgi cierpienia? Brzemieniem swojem łamie ono i niby piorun druzgocze duszę, w trzasku tego łamania słychać skargę do Boga, niekiedy nawet zgrzyt bluźnierstwa. Gdy to będzie dusza pełna pychy, tem straszliwsze bluźnierstwo rzuci Niebu, im straszliwszego trzeba było cierpienia, aby ją ono złamało. Legendowa garść krwi zakrzepłej, rzucona wraz ze strzałą przez ranionego śmiertelnie Juliana Odstępcę, to klasyczny symbol rzeczywistego bluźnierstwa.

Nie o takiem wszakże właściwem, rzeczywistem bluźnierstwie, złowolnem i złowrogiem, przeciwko któremu nawet współczesne kodeksy karne przewidują wysokie kary, a które Stary Zakon i prawodawstwo średniowieczne śmiercią karały (Stary Zakon przez ukamienowanie) — mówi się w tym wypadku, lecz jedynie o skargach i narzekaniach, w których charakter użalania się przemaga nad pychą; które znajdują do pewnego stopnia wytłómaczenie w cierpieniu; które nawet noszą na sobie znamię pewnej szlachetności, gdy skargę w imieniu milionów, skargę zbiorową wyrażają.

Roztrząsać ze stanowiska moralności zagadnienie tego rodzaju skarg, to jakby chodzić po linie nad przepaścią. Aby nie stracić równowagi sądu, trzeba uzbroić się w jasną świadomość i wyraźne poczucie czci, należnej Majestatowi Bożemu z jednej strony, — a z drugiej — zdawać sobie sprawę ze słabości ludzkiej, z potęgi cierpienia, oraz mieć zdolność współczucia z cierpiącymi.

Skarga przeciw Bogu, jakkolwiek retorycznie potężna, tak, iż zdaje się przechylać raczej na stronę człowieka przeciw Bogu, może być zupełnie niewinna, może być nawet modlitwą, formą wylewu uczuć do Stwórcy. Dość przytoczyć wstrząsające pytania, jakie „rzucił w błękity“ prorok Jeremiasz: „Sprawiedliwyś Ty wprawdzie Panie!... a wszakoż czemu się szczęści droga niezbożnych, dobrze się mają wszyscy, którzy przestępują i nieprawość czynią? Wsadziłeś je i rozkorzenili się: rosną i owoc wydają... Dokądże płakać będzie ziemia, a ziele wszego pola schnąć będzie dla złości mieszkających na niej?“

To też takie skargi nie są bluźnierstwem, jak to znakomicie udowodnił x. biskup Niedziałkowski. Lecz w religijnej tolerancyi można iść jeszcze dalej. I tak dzielny warszawski pisarz kościelny x. Bojomir pisze, że są

skargi i „pytania“, w których istotnie tkwi pewny pierwiastek bluźnierstwa. Klasycznym pod tym względem typem, jest biblijny Hiob. Pozbawiony nagle szczęścia rodzinnego i wszystkich dostatków, rzucony doświadczającą ręką Bożą na gnojowisko i przytem dotknięty trądem, ten łazarz i nędzarz ze szczęśliwego bogacza, pomimo całej swej bogobojności, stracił w końcu równowagę ducha... i pozornie bluźnił:

„Jeśli biczuje, raz niech zabije, a z kaźni niewinnych niech się nie śmieje! (Bóg)... „Rzeknę Bogu: Nie potępiaj mnie, pokaż mi, przecz mnie tak sądzisz? Azaż się dobrze Tobie widzi, żebyś mię potwarzył i ucisnął mnie, robotę rąk Twoich, a radą niezbożników wspomagał?“

Hiob cierpiał rzeczywiście niewinnie. Bóg, jakoby wyzwany przez szatana, który twierdził, iż Hiob dlatego jest bogobojny, że mu się dobrze wiedzie, doświadczał Hioba cierpieniem. Nie znając zamiarów Boga, buntował się prorok cierpiący przeciw Jego wyrokom, i słusznie oskarżał go Eliu, iż „pije urąganie, jako wodę“ (XXXIV, 7). Zastanawiającą jest jednak rzeczą, jak łagodnie osądził Bóg swego sługę, łagodniej, aniżeli Eliu, i jak łatwo te narzekania mu przebaczył. Gdy na pytania Hioba odpowiedział Bóg całym łańcuchem pytań, okazujących Jego wszechpotęgę i mądrość, i zażądał na nie odpowiedzi: „Wżdyć kto strofuje Boga, ma mu odpowiadać“ — ukorzył się Hiob i rzekł: „Który-m lekce mówił, cóż mogę odpowiedzieć? Rękę moję włóż na usta moje“ (XXXIX, 32, 34). I „przepasawszy jako mąż biodra swe“, okiełznał swą w żalach rozhukaną duszę, i dał Bogu zwycięstwo nad szatanem, a Bóg przywrócił mu zdrowie, szczęście i dostatki...

Narzekania Hioba dają nam miarę etyczną do oceniania podobnych skarg w naszej poezyi. Do tego samego bowiem typu odnieść należy namiętne skargi Mickiewicza, Ujejskiego i innych, np. Zagórskiego, i nawet Konopnickiej, skargi, w których nierzadko dźwięczy nuta i przebija się myśl biblijna. Nie pycha zaiste, ani nienawiść Boga, jeno wielkie cierpienie natchnęło tych, co śpiewali:

Bluźnią Ci usta, choć płacze serce,
Sądź nas po sercu, nie według słów!

Albo jak Zagórski:

I Ty widziałeś, iżem, bluźniąc, szlochał,
Bom tęsknił, Panie, bom cierpiał, bom kochał!

Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, iż zwłaszcza w poezyi pokolenia, wykarmionego na pozytywizmie, braknie równowagi pomiędzy skargą na Boga, a bojaźnią Bożą, która w najcięższych nawet chwilach przenikała Hioba. Pozytywizm, lubo nie odebrał większości poetów naszych wiary w Boga, znacznie ją wszakże nadwątlił, i dlatego rozterka pomiędzy ideałem a rzeczywistością doprowadzała ich do rozpacznego pessymizmu, któremu dał wyraz Asnyk w słowach:

Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary,
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie widziałem, i zbrakło mi wiary,
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą.

Zwątlenie wiary stało się również przyczyną nie już poufałego, (do którego stosunek „synów Bożych“ do „Ojca w Niebiesiech“ w pewnej części upoważnia), lecz lekceważącego tonu skarg do Boga na Boga. Oczywisty to i niepożądany dowód braku poczucia „straszliwego Majestatu“ Bożego.

Oskarżając jednak o ten brak poetę, położyć należy na wagę, jak tego żądał dla siebie Hiob, cierpienie, zwłaszcza to, które daje poecie prawo powiedzieć:

Nazywam się Milion, bo za miliony
Kocham i cierpię katusze.

A zatem wielkie, szlachetne, nieegoistyczne cierpienie oczyszcza — zdaniem teologów — skargę „rzucaną w błękity“ z bluźnierstwa.

Mały fejleton.

Lola Montez w Warszawie.

Pisaliśmy przed paru dniami o artykule prof. Fournier w *Deutsche Revue* o tej słynnej awanturnicy, która w połowie zeszłego stulecia stała się przyczyną rewolucyi w Monachium. Otóż w czasopiśmie rosyjskiem *Russkaja Staryna*, w roczniku z r. 1876 znajduje się bardzo zajmująca relacya Aleksandra Rozpopowa, kapitana żandarmów rosyjskich o zatargu Loli Montez z jenerałem Ignacym Abramowiczem, prezesem Dyrekcyi warszawskich teatrów nadwornych. Ów jenerał Abramowicz był ogromnym despotą i podległy mu świat artystyczny traktował zupełnie tak, jak żołnierzy. Za najmniejszą niesubordynacyę kazał artystów i artystki zamykać w więzieniu, a nawet podobno od czasu do czasu używał chłosty. Posłuchajmy więc co p. Rozpopow opowiada o owym zatargu Loli Montez z tym tyranem warszawskiego świata artystycznego.

Lola Montez była, co się zowie, pięknością, szczytem doskonałości. Miała oczy błękitne, rzęsy czarne i gęste, brwi cienko zakreślone, włosy czarne z lekkim odcieniem niebieskim, warkocz ciężki i gęsty, a kibić kształtną. Była przytem pełna wdzięku, wesoła, miła, ponętna i zarazem naiwna, jak dziecię.

Przyjechawszy do Warszawy, zwróciła się do bankiera Steinkellera, do którego miała listy polecające. Steinkeller zawarł z dyrekcyą teatrów umowę na 12 występów. Lola zobowiązała się tańczyć andaluzyankę podczas antraktów. Już kilka razy ukazywała się na scenie w samą porę, i widzowie byli zawsze nią zachwyceni. Aliści zdarzyło się jakoś, że się spóźniła. Dyrektor teatru stracił cierpliwość i sam udał się po nią do hotelu Rzymskiego. Zastał ją tylko w bieliźnie: Lola przed zwierciadłem wykonywała *pas*. Podbiegła do dyrektora i spytała:

— Czego pan sobie życzy? — i nie czekając odpowiedzi, wykrzyknęła: — Jak pan śmie wchodzić bez opowiedzenia się do panny! (W paszporcie figurowała, jako niezamężna). Proszę wyjść i nie ośmielać się wchodzić bez zawiadomienia!

Zjawiła się przecież na scenie i przetańczyła andaluzyankę. Publiczność wpadła w zachwyt, lecz dyrektor szepnął swoim zausznikom, ażeby podczas tańca sykali i gwizdali. Lola nie zwróciła na to uwagi i taniec ukończyła. Spuszczono kurtynę, orkiestra w dalszym ciągu przygrywała, a syki i gwizdania wciąż trwały. Wtem Lola Montez wyskoczyła z za kurtyny i podbiegła ku suflerowi. Orkiestra ucichła. Lola czystym, jasnym i donośnym głosem krzyknęła po francusku, wskazując lożę dyrektora:

— Panowie i panie! Ten afront bezecny zawdzięczam temu oto panu!

Widzowie wyłazili ze skóry, wrzeszcząc: „Bis, bis, brawo, Lola, brawo!“ — a dyrektor do połowy wychylał się z loży, ażeby wypatrzyć krzykaczy.

Ks. Paskiewicz bawił podówczas na polowaniu w Skierniewicach. Pozostająca w Warszawie zwierzchność orzekła: postawić u drzwi mieszkania Loli Montez szeregowca policyi.

Za powrotem ze Skierniewic, ks. namiestnik rozkazał Lolę Montez wyprawić za granicę z oficerem żandarmeryi i wezwał mnie do siebie.

— Czy słyszałeś — zapytał — jak napsociła Lola Montez? Czyś był wtedy w teatrze?

Odpowiedziałem, żebyłem, poczem książę zagadnął:

— Czy to prawda, że gwizdano, a publiczność krzyczała: „Bis, bis, bravo, Lola?“

Potwierdziłem, iż rzeczywiście tak było. Książę się zachmurzył i rzekł:

— Nie było wcale potrzeby, aby sam dyrektor do niej jeździł. Mógł kogokolwiek posłać.— Poczem dalej: — Odwieź ją zagranicę, do Poznania. Pamiętaj jeno, że to Hiszpanka: każda z nich trzyma sztylet za podwiązką.

Dnia 22 listopada 1843 roku zajechała po mnie kareta dworska. Wstąpiłem do Steinkellera, aby pójść razem do Loli Montez i oznajmić jej, iż, z rozporządzenia ks. namiestnika, ma pojechać ze mną. Kiedym to oświadczył, wziąwszy się pod boki, spytała: „Dokąd pojechać?“ Steinkeller objaśnił: za granicę. Wtedy się rozpłakała, powtarzając: „Za granicę nie pojadę, ale pojadę do Petersburga“.

Steinkeller i ja uspokajaliśmy ją łagodnie, a ona wciąż płakała i, rozpuściwszy prześliczne włosy, bawiła się niemi. Potem, zbliżywszy się do mnie, zagadnęła: „Kto pan taki?“ Odpowiedziałem: „Major“ — a na to ona wyrzekła: „Tylko“ i z ironią ciągnęła: „W Warszawie jest tylu jenerał majorów! Czemuż książę nie przysłał do mnie jenerał-majora“. Roześmiała się przytem, chwyciła kastaniety i zaczęła wyrabiać piruety i *pas*, poczem zwróciła się ku mnie i powiedziała: „Jadę! Ale wpierw zjem obiad i odpocznę!“

Zaledwie o godz. 4 po południu wyruszyliśmy. Kiedy jechaliśmy przez miasto, narzucano do karety naszej mnóstwo cukierków, a u rogatek oczekiwał tłum młodzieży. Lola uprzejmie się kłaniała, podając niektórym rękę. Wielu prosiło o pozwolenie odprowadzenia jej do pierwszej stacyi, lecz zabroniłem tego.

Na stacyi pocztowej Ołtarzew w izbie gościnnej było zimno. Kazałem podać samowar i sam przyrządziłem herbatę, którą przyjęła z zadowoleniem. Kiedy konie już zaprzężono, poprosiłem, ażeby się ubrała. Ale Lola, pogroziwszy mi palcem, wzięła poduszkę, położyła się na sofie i przykryła głowę szalem. Przewidując upór, zapowiedziałem najpoważniej, że jeżeli nie pojedzie ze mną, powrócę do Warszawy, a ją rozkażę odwieźć za granicę żandarmowi.

To na nią podziałało: zeskoczyła z sofy. Tejże chwili wszedł do pokoju kamerdyner jej, Lorens, z twarzą okrwawioną i nosem rozbitym. Niosąc kufer, pośliznął się i upadł. Ujrzawszy go, Lola zaczęła klaskać, śmiać się i krzyczeć: „Figaro! Figaro!“ poczem podała mi rękę i przeciągłym głosem zanuciła: „*Allons, allons, plus vite!*“ (Jedźmy, jedźmy co prędzej!). Najwidoczniej same sprzeczności owładały Lolą Montez.

Mróz trzymał 12-stopniowy. Lola była bardzo lekko odziana, cała w jedwabiach, a nawet ciepłych trzewików nie miała. Ofiarowałem jej podróżny worek futrzany na nogi i własną szubę, z czego nadzwyczaj była rada. Dla siebie zaś brałem futro od poczthalterów, od stacyi do stacyi.

W Łowiczu mieszkał podówczas oficer żandarmski, żonaty z Hiszpanką z Barcelony i mający dorosłe córy. Pod pozorem niedomagania zatrzymaliśmy się u nich na dni kilka. Lola nie posiadała się z radości, że napotkała swojaków.

W miasteczku Kole stanęliśmy na nocleg. Zarządziłem herbatę, ułożyłem do snu Lolę, a sam poszedłem do naczelnika etapu, majora Denisjewa. Kiedym był u niego, opanowało mną jakieś uczucie trwogi. Niezwłocznie podążyłem do zajazdu, w którym stanęliśmy. Wszedłszy do pokoju, poczułem silny swąd. Wpadłem do gospodyni, ażeby poszła zobaczyć, czy Lola nie zagorzała. Niebawem gospodyni zaczęła głośno zwoływać służbę. Poszedłem razem i wynieśliśmy Lolę Montez do pokoju gospodyni prawie bez znaku życia. Rozpacz mną ogarnęła. Pośpieszyłem do majora Denisjewa i pobiegliśmy razem po lekarza. Przywieźliśmy dwóch, jednego miejscowego, a drugiego, bawiącego przejazdem z zagranicy. Obadwaj z osobliwą gorliwością jęli ją cucić. Nie było prawie nadziei ratunku; dopiero po ciepłej kąpieli oznaki życia wróciły. Następnie puszczono krew z nogi. Zdaniem lekarzy, wystarczyłoby jeszcze pół godziny, aby Lola usnęła na wieki; tak silne gaz węglowy wywarł ciśnienie na mózg.

Lokal w zajeździe był nader niewygodny; żona majora Denisjewa zaproponowała przenieść Lolę Montez do swego mieszkania. Lubo niebezpieczeństwo już minęło, wszelako Lola pozostawała nieprzytomną ośm godzin, jęcząc i ciężko dysząc. Lekarze znajdowali się przy niej i używali wszelkich środków gwoli ulżeniu cierpień. Gdy zupełnie do przytomności powróciła, uskarżała się na duszność, silny ból głowy i bicie serca.

Nazajutrz o godz. 11-ej przed południem Lola poprosiła, bym do niej przyszedł. Wziąwszy moją rękę, położyła sobie na głowę i rzekła: „Bardzo boli“. Taki mię żal ogarnął, że łzy stanęły mi w oczach. Potem prosiła, abym oburącz ujął jej głowę i ścisnął. Wezwawszy Lorensa, kazała podać sakwojaż, wyjęła siedm półimperyałów, po trzy dała lekarzom, a jeden felczerowi. Ja zaś od siebie osobno podziękowałem lekarzom.

Lola Montez tak się osłabioną czuła, że przez dni kilka nie wstawała z pościeli, czytała modlitewnik, przebierała ziarnka różańca i, jak dziecię, bawiła się lalkami z córkami majora. Lorens zaś przez cały ten czas się upijał.

Zaledwie po dniach dziesięciu zdrowie Loli o tyle się poprawiło, że mogliśmy podążyć dalej. Do Poznania przyjechaliśmy o godz. 4-ej po południu. Na jej prośbę poszliśmy razem kupić dla niej ciepłe futerko, poczem zaprosiła mię na obiad, ażeby wypić wina szampańskiego: „*Je bois au mauvais passé et au bien heureux avenir!* (Za złe przebyte i szczęśliwą przyszłość“).

Żegnając się ze mną, Lola Montez ujęła mnie za rękę, włożyła na palec pierścień drogocenny i pocałowała mię w rękę. Spostrzegłszy, żem się stropił, rzekła: „*Vous avez adouci mon chagrin, vous m'avez sauvé la vie; acceptez ce présent en signe de ma réconnaissance* (Ulżyliście memu strapieniu, ocaliliście mi życie; przyjmijcież ten podarek na znak mojej wdzięczności“). Smutne było dla mnie to pożegnanie.

Lola wzięła odemnie adres mój i po dwóch, czy też trzech latach przysłała z Monachium swój portret z listem, w którym żądała, abym koniecznie przyjechał obejrzeć jej zamek Landsfeld.

Za powrotem stawiłem się z raportem u ks. Paskiewicza. Namiestnik zapytał mię surowo:

— Jakeś to się urządził, żeś umieścił Lolę Montez w zaczadzonym pokoju? Dobrze, iż się szczęśliwie skończyło, a niechby uchowaj Boże umarła, mielibyśmy wstyd i wszystko skrupiłoby się na mnie.

Kiedym szczegółowo wypadek opowiedział, rzekł książę:

— Dobrze, żeś zdążył zaradzić, a mogłaby być bieda. No, dzięki!

* * *

Jak zkądinąd wiadomo, Lola Montez postawiła na swojem i z Warszawy, lubo via Poznań, przez Prusy, pojechała do Petersburga. Już miała tam wystąpić na scenie, kiedy dowiedziano się o jej psotach warszawskich i wyprawiono z oficerem żandarmskim za granicę, tym razem na zawsze.

Przecławski w swoich „Wspomnieniach“ (którym zresztą niezawsze ufać można) opowiada, iż Lola Montez zawróciła nawet głowę ministrowi sekretarzowi stanu Królestwa Polskiego, Turkułłowi, że młody obywatel z Królestwa D...wicz, za romanse z tancerką był oddany do wojska na Kaukaz, że wreszcie podczas występów w Warszawie Lola zerwała z nogi podwiązkę i rzuciła w pierwszy rząd krzeseł. R. Rospopow nie potwierdza tego zdarzenia, aczkolwiek byłoby ono całkiem w guście słynnej awanturnicy. Przecież wydalono ją z Paryża za taniec bez trykotów i rzucanie pantofelkami na parter, a z Berlina za obicie szpicrutą żandarma. Cóż dopiero mówić o wybrykach w Bawaryi, które doprowadziły do rewolucyi w Monachium i do abdykacyi króla Ludwika I, nieutulonego po stracie wypędzonej przez lud miłośnicy! Ale to już do wspomnień warszawskich nie należy.

Zauważymy tylko, że dotychczas dowodnie niewiadomo, jakiego pochodzenia była Lola. Jedni mają ją za Hiszpankę, inni za Szkotkę lub Irlandkę, inni zaś za Kreolkę, a jeszcze inni za cygankę...

KRONIKA.

Lwów 30 sierpnia.

P. marszałek hr. Potocki wyjechał wczora do Wiednia.

Dyrektorem kancelaryi Izby Panów w miejsce p. Augusta Schraffenegg-Jannera, który przeszedł w stan spoczynku, zamianował Cesarz Ludwika br. Macenziego, radzcę ministeryalnego w ministeryum spraw wewnętrznych.

Pogrzeb śp. Adolfa br. Jorkascha-Kocha odbył się wczoraj po południu. Kondukt prowadzili X. infułat Zabłocki i X. mitrat Bielecki w asystencyi licznego duchowieństwa świeckiego i zakonnego. Za trumną oprócz rodziny postępowali reprezentanci władz autonomicznych i rządowych, oraz mnóstwo publiczności. Pochód żałobny zamykał oddział woźnych skarbowych.

W sprawie zawodowych stowarzyszeń rolniczych. Komitet krakowskiego Towarzystwa rolniczego na ostatniem swem posiedzeniu uchwalił zwrócić się do komitetu Towarzystwa gospodarskiego we Lwowie z prośbą o zwołanie konferencyi w sprawie wydania krajowej ustawy uzupełniającej do ustawy państwowej o zawodowych stowarzyszeniach rolniczych, celem osiągnięcia porozumienia między obu Towarzystwami w tym tak ważnym przedmiocie.

Zakaz. Rosyjski minister wojny wydał rozporządzenie, zakazujące cudzoziemcom pobytu i zwiedzania następujących miejscowości w obrębie rosyjskich posiadłości w środkowej Azyi: Kuszk, Permes, Kerki, Cziczikar, Czasla, kolonie wojskowe nad rzeką Atrek i na linii Puszk-al-Rabat, wreszcie miejscowości, położone przy kolei wiodącej do miasta Kuszk. Rozporządzenie to obejmuje też wassalne chanaty Chiwa i Buchara, w których ma być ze szczególną ścisłością wykonywane.

Zaręczyny. Dnia 23 bm. odbyły się w Bronowicach pod Krakowem zaręczyny panny Maryi Trzecieskiej, córki Zbigniewa i Ignacyi z hr. Miączyńskich Trzecieskich, z panem Juliuszem Ulenieckim, właścicielem Hnilcza we wschodniej Galicyi.

Rozprawy strajkowe. Z Tarnopola nam piszą, że wczoraj miała się tam odbyć pod przewodnictwem radzcy p. Cybyka, masowa rozprawa przeciwko 50 chłopom z Janówki, oskarżonym o gwałt publiczny, wymuszenie i zbiegowisko. Ponieważ kilku oskarżonych odbywa obecnie ćwiczenia wojskowe, a paru jest małoletnich, przeto odroczono rozprawę na inny termin. Wszyscy oskarżeni mieli odpowiadać z wolnej stopy, dlategoteż wrócili swobodnie do Janówki do pracy na roli.

W szkole muzycznej p. Jadwigi Dunlnowej rozpoczęły się już wpisy. Szkoła ta znaną jest zaszczytnie od wielu lat i wykształciła już spory zastęp doskonałych pianistów i pianistek. Mieści się ona w gmachu Skarbkowskim na II piętrze.

Klub pocztowy urządza we czwartek dnia 4 września b. r. „kręgle“ na Strzelnicy. Wieczorem tańce. Wstęp tylko za okazaniem zaproszenia od osoby 1 K. (członkowie i ich rodziny płacą połowę). Po zaproszenie zgłaszać się należy w Klubie pocztowym (ul. Kopernika l. 30).

W obronie przemysłu krajowego. Przed kilku dniami donieśliśmy, że służba pocztowa otrzyma nowe uniformy. Wobec tego Wydział krajowy wystosował do ministeryum handlu memoryał z żądaniem, aby przy nowem uniformowaniu służby pocztowej uwzględniano tylko krajowe fabryki sukna i roboty uniformów oddawano tylko krajowym majstrom. W memoryale tym czytamy między innemi: „Żądanie to odpowiada tylekrotnie zapadłym i rządowi przedstawionym uchwałom gal. Sejmu kraj., wzywającym rząd, aby wszystkie dostawy dla państwowych władz i zakładów, w naszym kraju się znajdujących, oddawał galicyjskim rzemieślnikom i przemysłowcom. Po największej części nie zostały jednak te rezolucye sejmowe, odpowiadające najżywotniejszym interesom i potrzebom naszego kraju, uwzględnione. Na potrzeby kraju kupuje się z małymi wyjątkami prawie wszystko po za granicami kraju, nawet artykuły w tych gałęziach rzemiosła i przemysłu, które dawno już u nas są ugruntowane i wykonywane w znakomitej jakości i po odpowiednich cenach. Jeżeli jednak ten wielki pracodawca, jakim przy obecnym kierunku gospodarstwa państwowego staje się państwo w coraz szerszym zakresie, systematycznie unika naszego przemysłu, to musi przemysł upadać. Łatwo ocenić gospodarcze i społeczne skutki tego stanu rzeczy, zwłaszcza w związku z szybkim wzrostem ludności w Galicyi“.

W Stanisławowie zawiązało się stowarzyszenie obywateli, którego celem będzie agitowanie wśród publiczności za kupowaniem wyrobów krajowych, tak, aby produkty przemysłu galicyjskiego o ile możności miały zbyt już w kraju. Komitet wykonawczy, złożony z pp. Błotnickiego, Doboszyńskiego, Horoszkiewicza i Posellingera ułożył już odpowiedni statut; uchwalono nadto przystąpić do lwowskiego Towarzystwa dla ochrony krajowego przemysłu i handlu „o własnych siłach“ pod warunkiem zupełnej autonomii.

Rozporządzenie pruskiego ministra oświaty w sprawie chłosty. W sprawie wymierzania chłosty dzieciom szkolnym wydał pruski minister oświaty świeżo rozporządzenie, w którem wskazuje na to, że nauczyciele powinni koniecznie unikać zastosowania chłosty z powodu braku w dzieciach zdolności językowych, mianowicie w dzieciach, których językiem ojczystym nie jest niemiecki. Również nie należy uważać tego zawsze za krnąbrność, gdy dzieci nie chcą się poddać chłoście i nie zawsze trzeba je za to karać jako krnąbrne; raczej należy zbadać w każdym przypadku, czy tu zachodzi naturalny wstręt przed otrzymaniem kary cielesnej, lub też krnąbrny opór. Minister poleca dalej zwracać na to uwagę, że niebezpiecznem jest wymierzanie chłosty na ręce i wzywa inspektorów szkolnych, aby nauczycielom w swoich obwodach przy inspekcyach szkolnych i podczas konferencyj powyższe rozporządzenie zakomunikowali i do zastosowania go usilnie upomnieli.

Pożary. W Podkamieniu w powiecie brodzkim spłonęły cztery budynki mieszkalne i dwie stodoły. — W Żywcu dnia 27 bm. zniszczył pożar doszczętnie cztery realności. Szkoda wynosi 12.520 koron.

Niemcy przeciw antipolskiej polityce rządu pruskiego. Warszawski *Kuryer Polski* zamieścił przed kilku tygodniami list, napisany przez Niemców z kolonii Grünenthal w gubernii wołyńskiej, podpisany siedmioma nazwiskami, w którym podniesiono protest przeciw antipolskiej polityce rządu pruskiego i wezwano wszystkich Niemców na Wołyniu do przyłączenia się do tego protestu. Nie podobało się to naturalnie pismom hakatystycznym; chcąc więc całej sprawie odebrać najmniejsze choćby znaczenie, zaczęły się rozpisywać, że nikt w kolonii Grünenthal nie wie nic o jakimkolwiek proteście, że podpisy listu są zmyślone; półurzędowa *Norddeutsche Allgemeine Zeitung* zaszła nawet tak daleko, że list niemieckich kolonistów nazwała *eine plumpe polnische Fälschung*. Wobec tak kłamliwych zaprzeczeń prasy hakatystycznej *Kuryer Polski* podaje w jednym z ostatnich numerów fotograficzną kopię początku i końca listu kolonistów z Grünenthal wraz z podpisami i dodaje, że oryginał listu może każdy oglądnąć w biurze administracyi.

Z teatru. Repertuar teatralny na tydzień bieżący zapowiada kilka występów Romana Żelazowskiego, znakomitego artysty teatrów warszawskich, w jego najcelniejszych i popisowych rolach. W poniedziałek, we środę i w piątek daną będzie po raz pierwszy wystawna indyjska operetka Pawła Hervé'go „Wdowy z Malabaru" z udziałem pierwszych sił operetkowych. W akcie trzecim tej operetki pani Kliszewska odśpiewa wielce oryginalne kuplety o dzisiejszych modnych mężczyznach. W czwartkowem składanem przedstawieniu, a mianowicie w komedyi J. Korzeniowskiego „Majster i czeladnik" debiutować będzie w roli Kacperka p. Hubert Brzozowski, syn poety Karola Brzozowskiego.

Nowo odkryty Botticelli. Z Rzymu donoszą, że w Piacenzy, na zamku Bardi, odkryto wśród starych rupieci Madonnę Botticellego. Obraz, zachowany wcale dobrze, przedstawia Madonnę, która klęcząc, podnosi Jezusa z trawy. Obok stoi maleńki Jan. Dzieło odznacza się pięknością rysów Matki Bożej i nader uroczym krajobrazem, zasłanym kwiatami.

Zamrożony pasażer. Zamieszkały w Bostonie młody chłopak, nazwiskiem John Louis, czuł w sobie powołanie na milionera, gdyż miał wszystkie po temu warunki: spryt, przedsiębiorczość i energię. Warunki jednak składały się tak niepomyślnie, że w Bostonie niepodobna mu było skorzystać z powyższych zalet. Młody Louis postanowił zatem udać się do Nowego Jorku, gdzie, jak sądził, łatwiej mu będzie rozpocząć drogę do zdobycia majątku. Nie mając pieniędzy na kupno biletu, spacerował po peronie dworca kolejowego, gdy nagle zwrócił jego uwagę niezamknięty wagon towarowy, w którym mieścił się transport mięsa. Dla ochrony od zepsucia mięso spoczywało na grubym pokładzie lodu. Louis, nie namyślając się długo, wskoczył niepostrzeżenie do tego wagonu i ukrył się w najgłębszym jego zakątku. Wobec niezbyt wielkiej odległości Bostonu od Nowego Jorku, mógł się spodziewać, że podróż w chłodku wcale mu nie zaszkodzi. Tymczasem konduktor zamknął wagon, nałożył pieczęć i pociąg ruszył. Ruszył jednak, niestety, nie do Nowego Jorku, lecz we wprost przeciwnym kierunku, do miasta Memfis, położonego na drugim końcu Stanów Zjednoczonych. Podróż zatem przeciągnęła się niespodziewanie i kiedy wagon otwarto nareszcie na stacyi końcowej, ujrzano ze zdumieniem pośród mięsa — zamrożonego człowieka. Był nim John Louis.

Pierwszy grenlandzki dziennikarz. I Eskimosi mają już dziennikarstwo. Umarł właśnie Lars Moellers, który pierwszy współbraci swoich Eskimosów obdarzył dziennikiem. Publicysta ten był jednym z Eskimosów, którzy służyli jako przewodnicy profesorowi Nordenskjöldowi. Był z natury inteligentny, a pod wpływem podróżników szybko się zeuropeizował. Prof. Nordenskjöld nauczył go czytać. Każdą wolną chwilę spędzał przy książkach i gazetach, a te ostatnie najbardziej go zajmowały. Ustawicznie wypytywał się, w jaki sposób czerpią swoje wiadomości, jak się drukują, jak odbijają ilustracye itp.

Gdy prof. Nordenskjöld powrócił do Szwecyi, otrzymał od Moellersa wiadomość, że pragnie zostać dziennikarzem. Nordenskjölda wprawiło to w dobry humor, gdyż nie wierzył wprost, by dziennikarstwo mogło powstać tak rychło w Grenlandyi. Moellers okazał się jednak niestrudzonym. Gdy powziął myśl wydawania gazety, sam jeden tylko pośród Eskimosów umiał czytać. Początkowe więc numera zawierały tylko obrazki, które redaktor osobiście rysował i własnemi tylko siłami na prymitywnej prasie drukarskiej odbijał. Z numerami takiej gazety objeżdżał na sankach jak najrozleglejsze okolice i na obrazkach uczył ziomków swoich czytać. Powoli inteligentniejsi ludzie pozyskiwali od Moellersa sztukę czytania i krzewili ją następnie coraz szerzej, tak, że gazeta pomieszczała już teksty drukowane obok obrazków, a spełniła tak rozległą misyę kulturalną, iż obecnie mało bardzo znaleźć można w Grenlandyi analfabetów. Opinia publiczna w Danii zajęła się sprawą grenlandzkiej publicystyki. Założono Moellersowi drukarnię i postawiono wydawnictwo na wyższym stopniu rozwoju. Śmierć dzielnego Eskimosa-publicysty sprawy podobno nie cofnie, bo znalazł się już następca.

Co powiecie państwo na to, że dopiero mamy lato? że, gdy kończą się dni sierpnie, skóra przecie ci nie cierpnie; że iść możesz w lasy, pola, bez kaloszy, parasola? Że dopiero pierś zaskrzepła dzisiaj może użyć ciepła; że, wbrew wróżbom kalendarzy, dziś się nikt nie zakatarzy; że, gdy żonki już z powrotem, słonko rzuca, sieje złotem, a jak mąż grał rolę wdowca, nie wyjrzało z chmur pokrowca? Że tak czerwiec, jak i lipiec, zamiast ogrzać, zamiast przypiec, lały deszczem, biły grzmotem — co myślicie państwo o tem?

Jabym radził przedewszystkiem naiwności wzgardzić listkiem i, miast gniewać się i ciskać, ten niezwykły fakt wyzyskać, i w pogodę ustaloną samemu się rozstać z żoną, w świat wyruszyć, w świat szeroki, w górskie szczyty, nad potoki, w wonne gaje, łąk kobierce, skrzepić ducha, skrzepić serce; myśl ulotnić w błękit nieba, wziąwszy z domu, co potrzeba, gdyby zaś co brakło w drodze, pisać z drogi swej niebodze: „Luba! miła! cna! Coprędzej przyślij, duszko, mi pieniędzy!" Obiecując w zamian za to dać jej urlop... w babie lato.

Stopień szkodliwości napojów. W paryskiej Akademii medycznej odczytał dr. Baudran rozprawę o sposobie, w jaki można oznaczyć stopień szkodliwości napojów wyskokowych. Autor wywodzi, że alkohol i jego przetwory zwalniają proces oksydacyi w organiźmie, gdyż odbierają ciałkom krwi część zawartego w nich tlenu. Otóż udało się drowi Baudran porównawczo, za pomocą reakcyi chemicznych, stwierdzić, jak intensywnie rozmaite napoje spirytusowe oksydują się w płynie, podobnym co do swego działania do krwi ludzkiej. Zestawił on mianowicie następującą skalę, w której cyfry stosunkowe oznaczają stopień szkodliwości: a) szkodliwe likiery: woda kolońska 2524, miętówka 2424, ekstrakt ziołowy 2052, absynt 1850, kminkówka 1834, Chartreuse 1149; b) mniej szkodliwe likiery: Curaçao 1096, Sherry Brandy 1095, jałowcówka 1068, śliwowica 1046, piołunówka 499; c) wina: Pomard (burgundzkie) 350, Pantet-Canet (burgundzkie) 327, Bordeaux białe 287, Bordeaux czerwone 282; d) piwo 156, jabłecznik 142.

Ciekawa statystyka tańców. Obliczono, że tancerz, biorący udział we wszystkich tańcach na balu, przebywa przez mniej więcej 7 godzin 38 kilometrów drogi, w czem najdłuższą przestrzeń zajmuje walc, potem mazur, potem zaś polka.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części wieży klasztoru w Częstochowie nadesłała p. O. K. z Tok z prośbą do Matki Boskiej o błogosławieństwo w zamysłach 2 K., a z prośbą o zdrowie drogich istot 2 K.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 12, w poł. + 19 R. Bar. 765. Spada. Dość pogodnie.

Przysłowia bośniackie. Pies szczeka i na cesarza. — Na ubogiego szczekają nawet psy. — Cierpliwy pies warknie dopiero, gdy mu na ogon nastąpić. — Przez niskie płoty i psy skaczą. — U bogatego nawet i woły mądre. — Szanuj konia jak brata, ale jedź na nim jak na wrogu. — Czysty wieprz nigdy nie jest tłusty. — Ubierz wieprza w złoto, on przecie wlezie w błoto. — Gość i ryba na trzeci dzień nic nie są warte. — Kiedy jaja gdaczą, muszą kury milczeć. — Pytano wielbłąda, czy go ciężar gniecie? „Nie — odpowiedział — ale mi przykro, że osioł jest moim poganiaczem. — Kobieta jest złem, bez którego, niestety, obejść się nie można. — Ożeń go, a przestanie śpiewać. — Kobiety, dzieci i psy trzeba bić i żywić. — Gdyby wszyscy mężczyźni byli garnkami, wszystkie dziewczęta chciałyby być kucharkami. — Kobieta śmieje się kiedy może, a płacze, kiedy chce. — Pierwsza żona boi się męża, drugiej boi się mąż. — W piątek powinna być panna młoda piękna, w sobotę dobra, a w niedzielę powinna mieć pieniądze.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w sobotę „Otello" tragedya w 5 aktach W. Szekspira. Pierwszy gościnny występ Romana Żelazowskiego. — W niedzielę (wznowienie) „Zbójcy" tragedya w 5 aktach Fr. Schillera, drugi występ Romana Żelazowskiego. — W poniedziałek po raz 1szy „Wdowa z Malabaru" operetka w 3 aktach Hervé'go. — We wtorek (wznowienie) „Rozbitki" komedya w 4 aktach Józefa Blizińskiego. Trzeci występ Romana Żelazowskiego. — We środę po raz 2gi „Wdowa z Malabaru". — We czwartek (wznowienie) „Pietro Carusso" dramat w 1 akcie Roberta Bracco, przekład J. Kasprowicza, występ R. Żelazowskiego w roli tytułowej; „Maski" dramat w 1 akcie Roberta Bracco, przekład J. Kasprowicza, występ R. Żelazowskiego i „Majster i czeladnik" kom. w 2 aktach J. Korzeniowskiego, debiut Huberta Brzozowskiego, artysty teatru ludowego w Warszawie. — W piątek po raz 3ci „Wdowa z Malabaru".

Literatura i sztuka.

* **Zagadnienia z medycyny i nauk przyrodniczych.** Pięć odczytów, zebrał i spolszczył dr. W. D. Moraczewski. Lwów, księgarnia H. Altenberga; Warszawa, E. Wende i Ska. 1901.

W książce tej zebranych jest sześć, a nie jak w tytule podano pięć, odczytów, wygłoszonych na różnych zjazdach naukowych przez wybitnych uczonych. Łączy te odczyty to, że poza zakres tej części nauki, o której traktują, sięgają do wniosków ogólnych, że zatem wkraczają w dziedzinę filozofii poszczególnych umiejętności, przyczem uwzględniony jest najnowszy stan nauki. Wszystkie odczyty dotyczą kwestyi niezmiernie ciekawych także dla szerokiego koła ludzi wykształconych, jak np. odczyt takiej powagi na polu fizyologii mózgu, jak Meynert, „o współdziałaniu części mózgu". Znany uczony Lepsius przedstawia nam najnowsze badania nad okresem lodowym, poprzedzającym czasy historyczne i kulturę w najwcześniejszych stadyach rozwoju ludzkości. Zajmujący bardzo jest odczyt Klemensa Winklera o „istocie pierwiastków chemicznych", chociaż porusza się tylko w sferze hypotez. W dziedzinę biologii i medycyny prowadzą nas odczyty: Klebsa „o niektórych zagadnieniach dotyczących fizyologii rozmnażania", Weigerta: „Nowe zagadnienie patologicznej anatomii" i Bouchara „Teorya chorób zakaźnych". Do celu popularyzowania wiedzy pozytywnej i zachęcenia do dalszych studyów w tym kierunku książka ta jest bardzo odpowiednia; niewątpliwie też znajdzie liczniejszych u nas czytelników.

* **Karol Wróblewski:** „Psychologia". Zeszyt I. Wstęp: Propedeutyka filozofii w gimnazyum. Stryj. Skład w księgarni Müllera w Stryju. 1902.

Autor kreśli historyę nauki logiki i psychologii, czyli tzw. propedeutyki filozofii w gimnazyach, począwszy od r. 1849 aż do dziś dnia na tle współczesnych doktryn filozoficznych, a więc: heglizmu, pozytywizmu, materyalizmu, wreszcie empiriokrytycyzmu. Zadaniem autora było wykazywać w jaki sposób te współczesne prądy wpływały na wybór materyału propedeutyki filozoficznej w gimnazyum, jakie były i są zalety i błędy planu naukowego, ułożonego przez ministeryum oświaty dla propedeutyki filozofii. W toku swych wykładów porusza autor sam niejedną kwestyę filozoficzną w odniesieniu do pedagogii, np., które wiadomości z teoryi poznania, lub z metafizyki, są już na tyle ustalone, że można ich, jako pewników nauczać w gimnazyum. Broszurka świadczy o dużem oczytaniu filozoficznem autora, a powinna się znaleźć w każdej bibliotece gimnazyalnej dla użytku nauczycieli udzielających logiki i psychologii w klasach VII i VIII, tudzież dla użytku bardziej uzdolnionych uczniów. — Następny zeszyt będzie mieć za temat studyum filozofii na uniwersytecie.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 29 sierpnia.

(Z). Bardzo zajmujące sprawozdanie o obrocie monet złotych w naszej monarchii przedłożył sekretarz dr. Pranger radzie jeneralnej banku austro-węgierskiego z tej okazyi, że właśnie minął rok od chwili wprowadzenia złota w obieg. W dniu 22 sierpnia 1901 zapadła bowiem odnośna uchwała rady jeneralnej banku, a zaraz nazajutrz zaczęto złoto wypuszczać. W pierwszych kilku tygodniach — jak konstatuje dr. Pranger w swojem sprawozdaniu — miały one urok nowości i publiczność brała je chętnie, wnet jednak nastała pod tym względem zmiana. Publiczność na każdym kroku dawała pierwszeństwo małym banknotom, a pozbywała się złota, to też zaczęło ono wracać do banku, i chociaż bank wciąż puszcza nowe monety w obieg, cyrkulacya ich nie powiększa się, gdyż bardzo często w jednym i tym samym dniu nierównie większe sumy w złocie wracają do banku, aniżeli bywają wydane. Ogółem puścił bank do tej pory monet złotych za 210 milionów koron, z tego wróciło napowrót 85 milionów, utrzymało się zaś w obiegu około 125 milionów. Zapasy złota, nagromadzone przez bank, nietylko nie zmniejszyły się w ciągu tego roku, ale przeciwnie znacznie się powiększyły. Przed rokiem wynosiły one 969 milionów, dziś wynoszą 1083 milionów, a nadto w obiegu jest złota za 125 milionów, w rezultacie więc zwiększyły się w ciągu roku zapasy złota, jakimi dysponuje monarchia, o 239 milionów koron.

Na końcu swego sprawozdania daje dr. Pranger dosyć pesymistyczną uwagę, że trudno dziś byłoby odpowiedzieć na pytanie, czy uzasadnione były nadzieje, jakie swego czasu żywiono z powodu wprowadzenia złota do obiegu.

O przebiegu dzisiejszych obrotów na giełdzie nie ma właściwie wiele do doniesienia. Zasadnicza tendencya była i dziś silna, ale obroty nieznaczne. Akcye naftowe spadły dziś jeszcze więcej niż wczoraj, np. Schodnickie o 23 koron. Spekulacya w obu akcyach kredytowych była dziś mniej ożywioną niż wczoraj, gdyż ustały zakupy arbitrażu. Natomiast na pierwszy plan wysunęły się losy tureckie, akcye tytoniowe i obligacye bułgarskie.

Pojawiło się dziś sprawozdanie znanej budapeszteńskiej firmy zbożowej Emanuela Mendla o rezultacie żniw na Węgrzech. Firma ta prowadzi statystykę handlu zbożowego, a sprawozdania jej mają w świecie handlowym często większą wagę, niż urzędowe raporty ministeryalne. Owóż w teraźniejszem sprawozdaniu konstatuje ona, że takiego zbioru pszenicy, jak w tym roku, nie miały Węgry od lat dwudziestu. Jest on o 16 milionów hektolitrów, a więc o 30% większy, niż w roku ubiegłym. Przytem i jakość zebranego ziarna ma być doskonała, bo najpośledniejsze gatunki są 76 kilowe, w wielu okolicach jednak trafia się 83 kilowa pszenica, t. j. taka, iż hektolitr waży 83 kilogramów.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 686·50, węg. Zakł. kredyt. 735·25, Anglobanku 276·25, Unionbanku 540·00, Landerbanku 422·25, Bankvereinu 454·50, Bodencredit 928·00, Gal. Banku hip. 538·00, Statsbahny 718·00, Lombardy 70·00, Kol. Elbethal 466·50, Północnej 5720, Czerniowieckiej 566·00, Alpiny 391·00, Rima Muranyi 500·00, Praskiego Tow. żel. 1515, Fabryki broni 000·00, Tureckie tytoniow. 316·00, Oblig. węg. indemniz. 97·60, Renta majowa 101·75, Austr. renta koronowa 100·05, Węgier. renta koronowa 97·90, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·45, 4% Listy Banku krajow. 97·00, 4½% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, 4½% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·30, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·25, 4% Poż. m. Lwowa 94·40, Losy tureckie 113·00, Marki 117·00, Ruble 253.25.

Sprawozdanie targowe Lwowskiej izby kupieckiej. Lwów, 28go sierpnia. (Ceny w walucie koronowej za 50 kg. netto loco (paritas) Lwów bez akcyzy).

Pszenica prima 7·10 do 7·20, średnia 0·00 do 0·00, żyto prima 5·80 do 6·00, średnie —·— do —·—, jęczmień browarny 5·75 do 6·00, pastewny —·— do —·—, owies pański 5·90 do 6·00, chłopski —·— do —·—, kukurydza prima 4·90 do 5·10, średnia 0·00 do 0·00, rzepak zimowy nowy 10·00 do 10·25, len —.— do —·—, siemie lniane 9·75 do 10·00, siemię konopne 8·— do 8·25 koniczyna czerw. prima 48·— do 50·—, średnia —·— do —·—, koniczyna biała prima 75·— do 80·—, średnia —·— do —·— szwedzka 00·— do 00·— tymotka —·— do —·—, anyż okrągły 00·00 do 00·00 płaski 00·00 do 00·00, groch do gotowania 8·— do 8·25, zielony 7·— do 7·25, pastewny 5·50 do 6·00 bobik koński 4·75 do 5·00, wyka 5·00 do 5·25 otręby pszenne 3·50 do 3·75, żytne 4·00 do 4·10, chmiel —·— do —·—

Spirytus surowy bez podatku loco stacye: Husiatyn-Stanisławów kontyngent 33·25 do 33·50, nadkontyngent 15·75 do 15·90; Tarnopol-Brody kontyngent 33·75 do 34·00, nadkontyngent 16·10 do 16·40; Sokal-Jarosław kontyngent 34·50 do 34·75, nadkontyngent 16·35 do 16·60; Rafinerye Lwów kontyngent 36·— do 36·25, nadkontyngent 17·50 do 17·75.

Cena bez wszelkich kosztów za 10.000 litr procent.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Monachium 30 sierpnia. Rewizyę granicy austro-bawarskiej w górach Wetterstein i Korbendel komisye obu państw ukończyły i usunęły istniejące wątpliwości.

Tryest 30 sierpnia. Do strejku robotników metalowych przyłączyli się zecerzy. Robotnicy metalowi wezwali wszystkich robotników do przystąpienia do strejku.

Petersburg 30 sierpnia. Wczoraj po południu odbył się ślub ks. Mikołaja greckiego z W. księżniczką Heleną, córką W. księcia Włodzimierza, stryja carskiego.

Berno morawskie 30 sierpnia. Przy wczorajszym wyborze posła do rady państwa z okręgu Berno—Vyszków, w miejsce Konrada Martenka który ustąpił, otrzymał w Bernie kandydat czesko-klerykalny Józef Koudela 499 głosów, a młodoczech Włodzimierz Pokorny, poseł sejmowy, 253 głosów. Wybrany został, jak się zdaje, Koudela.

Madryt 30 sierpnia. Wczorajsza rada ministeryalna jednomyślnie uchwaliła znieść stan oblężenia w Barcelonie.

Sofia 30 sierpnia. Rząd wystosował do dyplomatycznego zastępcy rumuńskiego notę, domagającą się poddania szkoły rumuńskiej w Sofii władzom bułgarskim i grożącą w przeciwnym razie zamknięciem szkoły.

Król włoski w Berlinie.

Poczdam 30 sierpnia. Król włoski przyjął na posłuchaniu kanclerza Buelowa i konferował z nim dość długo. Buelow odbył także konferencyę z Prinettim.

Król Wiktor Emanuel złożył na trumnie cesarza Fryderyka wieniec.

U ks. Fryderyka Leopolda odbyło się wczoraj śniadanie, poczem obaj monarchowie w licznem towarzystwie udali się na przejażdżkę po jeziorze Wannsee na jachcie „Aleksandra".

Wieczorem zamek królewski i park były rzęsiście iluminowane.

Paryż 30 sierpnia. Część prasy tutejszej, pisząc o odwiedzinach króla włoskiego w Berlinie, zarzuca rządowi francuskiemu niedołęstwo, gdyż tylko skutkiem polityki Delcasségo zdołały Niemcy zawrzeć tak serdeczne stosunki z Rosyą i Włochami.

Londyn 30 sierpnia. *Times* pisze, że nie można sobie wyobrazić wspanialszych przygotowań niż te, jakie poczyniono na przyjęcie króla włoskiego w stolicy Niemiec, ani też serdeczniejszych słów nad te, które wygłosili w toastach swych cesarz niemiecki i król włoski.

(Depesze popołudniowe).

Nowy Jork 30 sierpnia. Telegram z Willemstadu donosi: Powstańcy starali się opanować miasto Taquay (w Wenezueli). Po 5-cio godzinnej walce musieli ustąpić pod naciskiem wojsk rządowych. 200 powstańców jest zabitych i rannych.

Pekin 30 sierpnia. „Biuro Reutera" donosi: Japoński jenerał Yamani zamianowany został wojskowym attaché przy poselstwie japońskiem w Pekinie z tem, że się zajmie zreformowaniem wojsk chińskich.

Kraków 30 sierpnia. Niebawem nastąpi rozszerzenie ubikacyi biblioteki Jagiellońskiej przez przyłączenie do niej budynku dawnego gimnazyum św. Anny. Gmach ten będzie przerobiony, na I-em piętrze będzie urządzona czytelnia, obok zaś kancelarya. Obydwa budynki będą połączone odpowiedniem przejściem.

Warszawa 30 sierpnia. Dzisiaj przypada 25-lecie istnienia kolei nadwiślańskiej. Z liczby pierwszych urzędników i oficyalistów pozostaje jeszcze w służbie 314 osób. Jutro odbędzie się w kościele NP. Maryi w Warszawie nabożeństwo za zmarłych urzędników.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 30 sierpnia. Br. B. Popper i J. Hohn z Wygody. Br. Ch. Gontier z Włoch. J. Skrzyński z Warszawy. W. Rey z Psar. N. Szuch i N. Ułaszyn z Ukrainy. K. Skrzyński z Baniowic. K. Bromirski z Faszczówki. A. Witkowski z Krakowa. W. Jankowski z Rosochowic. O. Schreiner z Liverpoola. L. Sankey i W. Sneack z Anglii. E. Ziffer, J. Weill i D. Frankenstein z Wiednia. L. Dzwinogrodzki z Humania. K. Demianowicz z Bukaresztu. M. Ludwig z Sambora.

HOTEL FRANCUSKI.
Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 30 sierpnia. L. br. Wattmann z Rudy Rożanieckiej. A. Makomaski z Królestwa Polskiego. J. Bodzińska z Kołomyi. A. Berley z Marsylii. F. Janowski z Rożniatowa. F. Sobalik i J. Kolowrat z Wiednia. B. Wierzchleyscy z Kabarowiec. W. Schutt z Jaworowa. K. Piątkowski z Józefówki. A. Waligórscy z Swaryczowa. J. Andermanowie z Delatyna. H. Czaykowscy z Białego Dworu. S. Dienstl z Przemyśla. S. Kędzierski z Meryszczowa. J. Makulska z Koropca. J. Szymuski z Krasiczyna. G. Gawecki z Dzikowa G. Wiszniewska i N. Radzimińska z Rosyi.

HOTEL EUROPEJSKI
Lwów — Plac Maryacki
ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 30 sierpnia. Hr. Z. Wielhorski z Zakopanego. Hr. St. Jabłonowski z Weremzonki. J. Głębocki z Korneki. St. Białoskórski ze Staj. Dr. Feliński i J. Jaworski z Krakowa. M. Karśuicki z Rosyi. W. Słotwiński z Krukienic. M. Mildner z Szymbarku. F. Pokwaliński z Odessy.

Nadesłane.
Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 30 sierpnia.

Marki 117.00, renta majowa 101.75, węg. renta koronowa 97.90, Akcye: austr. zakł. kredyt. 686.75, węg. zak. kred. 736.50, anglobanku 277.—, unionbanku 540.—, bankvereinu 455.00, länderbanku 423.00, kolei państw. 717.50, lombardy 71.75, akcye kolei Elbethal 467.00, fabryki bron. —.—, tytoniowe 317.00, alpiny 391·00, Rima Muranyi 500.—, pragskiego Tow. żel. —·—, losy tureckie 113.00, ruble 253·50. Usposobienie silne.

Wiedeń 30 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 17·20 (słabo). Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus 39·80 (stale).

Wiedeń 29 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 6·88—6·89, na wiosnę 7·22—7·24; żyto na na jesień 6·23—6·24, na wiosnę 6·47—6·48; kukurudza na lipiec-sierpień 0·00—0·00, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·56—5·57, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·75—5·76, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 10·65—10·75. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: silna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 29 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 6·63—6·64, na kwiecień 6·95—6·96; żyto na październik 5·91—5·92, na kwiecień 6·14—6·15; owies na październik 5·42—5·43, kwiecień 5·70—5·71; kukurudza na sierpień 0·00—0·00, na maj 5·33—5·34. Rzepak: na sierpień 00·00—00·00. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna słaba. Tendencya: słaba. Pogoda: piękna.

Lwów 30 sierpnia. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 565.00 do 575.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 540.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 840.— do 860.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 100·70, 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.20 do 101.90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisyi) 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·20 do 96.90.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 99·00 do 99·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·80 do 103·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97.00 do 97.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·00 do 94·70, 4½% po 200 koron 100·50 do 101.20.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·00 do 19·20. Rubel rosyjski papierowy 252.00 do 253.70. 100 marek niemieckich 117·— do 117·50.

Ruch pociągów kolejowych
ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:
Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50.
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:
Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 8·80.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 8.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

12

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

Właściciel sklepiku galanteryjnego wybiegł przed dom i zdziwił się niepomiernie, widząc trzech ludzi, leżących na drodze. Czyżby się popili?...

Oberżystka została na stanowisku przy ladzie szynkownej; długie doświadczenie nauczyło ją bowiem, że ciekawość ciekawością, a interes interesem.

Po chwili drzwi od bawialni otworzyły się i pan Cuss, nie zwracając uwagi na gospodynię, wybiegł na ulicę.

— Trzymajcie go!... — wołał — odbierzcie mu zawiniątko!...

Nie wiedział wcale o istnieniu pana Marvel, któremu Człowiek Niewidzialny przez okno podał książki i węzełek.

Twarz pana Cuss wyrażała gniew i stanowczość, ale jego strój szwankował... od dołu.

— Zabrał moje spodnie, a pastorowi całe ubranie!...

Biegnąc tak i wrzeszcząc, felczer potknął się o leżącego na ziemi Huxtera. Chciał skręcić na gościniec, ale ktoś mu na nogę nastąpił. Pan Cuss syknął z bolu. Raptem upadł na ręce, tak, że stanął na czworakach. Podniósł się natychmiast, próbował jeszcze gonić swe spodnie, ale został pociągnięty za włosy tak, że stracił ochotę do dalszej walki z niewidzialnym przeciwnikiem.

Skręcił ku gospodzie. Zawróciło się też kilkunastu ludzi, spłoszonych widokiem towarzyszy, którzy padali na ziemię, jak ulęgałki. Wtem do uszu pana Cuss doleciał okrzyk wściekłości, unoszący się ponad ogólną wrzawą. Felczer poznał głos Niewidzialnego Człowieka. Potem usłyszał jęk. Wpadł do bawialni.

— On wraca!... Bunting, chowaj się!... — krzyknął zdyszany.

Pan Bunting stał przy oknie i próbował owinąć się w gazetę.

— Kto wraca? — zapytał.

— Człowiek Niewidzialny... — odparł Cuss, biegnąc do okna. — Uciekajmy... — szepnął. — Znowu nas poturbuje...

Za chwilę był już na łące.

Pastor usłyszał bójkę w izbie szynkownej i wybrał jedną z dwu przykrych ostateczności. Przeskoczył przez okno, owinął się gazetą od stóp do głowy i biegł przez wieś, o ile mógł najszybciej.

* * *

Od chwili, gdy Niewidzialny Człowiek wydał okrzyk wściekłości, a pan Bunting wykonał swoją słynną ucieczkę przez okno, niepodobna opisać, co się działo w Iping.

Człowiek Niewidzialny chciał może pierwotnie osłonić ucieczkę pana Marvel z książkami i odzieniem, ale wśród szamotania się poniósł szwank na niewidzialnem ciele i to go tak rozwścieczyło, że pastwił się poprostu nad biednymi obywatelami Iping: kąsał ich, kopał, przewracał, deptał po nich nogami, znęcał się bezkarnie.

Ulica rozbrzmiała piskiem i jękiem; chowano się do domów, zatrzaskiwano drzwi za sobą. Niebawem wszystko ucichło. Na placu boju nie pozostało żywej duszy, oprócz Człowieka Niewidzialnego, jeśli ten notabene miał duszę.

Zabawiał się najprzód wybijaniem okien w oberży, a gdy tego dokonał, zdjął ze słupa latarnię i cisnął ją w okno pana Huxter. Onto zapewne poprzecinał druty telegraficzne, utrzymujące komunikacyę z Adderdsan.

Po dokonaniu tych wielkich czynów znikł bez śladu; odtąd nie dał się już nigdy w znaki mieszkańcom Iping.

Upłynęły dobre dwie godziny, zanim nabrali otuchy i ośmielili się wyjrzeć ze swoich kryjówek.

ROZDZIAŁ XIII.

Pan Marvel próbuje się wyzwolić.

Podczas gdy za nadejściem zmroku mieszkańcy Iping powrócili do przerwanej zabawy, na drodze do Bramblehurst ciężkim krokiem szedł człowiek w pomiętym kapeluszu pilśniowym, niosąc na plecach węzełek, a pod pachą trzy grube książki, owiązane szeroką gumelastyką.

Twarz pucołowata i czerwona wyrażała zmęczenie; wędrowiec szedł krokiem przyśpieszonym, niespokojnym, co chwila przysiadał i kurczył się, jak gdyby go przygniatała ręka niewidzialna. Towarzyszył mu głos obcy.

— Jeżeli raz jeszcze spróbujesz mi się wymknąć!... — groził.

— Litości! — jęczał p. Marvel. — Mam już całe ramię pełne sińców...

— Jeżeli znowu spróbujesz mi się wymknąć— zagrzmiał Głos — to cię zabiję na miejscu!...

— Nie próbowałem uciekać... — tłómaczył się pan Marvel. — Słowo daję, że nie próbowałem... Puść mnie na chwilę...

— Nie głupim! Uciekniesz...' Dość już i tak biedy. Tamci odkryli moją tajemnicę. Dotychczas nikt się nie domyślał, że jestem niewidzialnym. Co ja teraz pocznę?...

— Co ja teraz pocznę?... — zawtórował mu pan Marvel z rozpaczą.

— Tajemnica wyjdzie na jaw. Ogłoszą ją w dziennikach. Zaczną mnie szukać i upatrywać. Wszyscy się będą mieli na baczności...

Tu Głos począł kląć obrzydliwie. Twarz pana Marvel wyrażała czarną rozpacz.

— Nie zwalniaj kroku! — zawołał Głos gniewnie. — A nie upuść mi moich książek. — Pamiętaj, że musisz mnie słuchać we wszystkiem. Jesteś ślepem narzędziem w mojem ręku. Głupie to narzędzie, ale skoro innego niema...

— Tak, jestem głupiem narzędziem... — potwierdził pan Marvel z desperacyą.

— Jesteś! — huknął Głos.

— Nie mogłeś znaleźć głupszego... Sił mi brak...

— Doprawdy?...

— A przytem brak mi odwagi... Nie jestem stworzony do takiej roboty...

— Ja ci dodam bodźca...

— To się na nic nie zda. Nie potrafię ci dopomódz.... Moja wrodzona głupota zawsze pokpi sprawę....

— Sam na tem wyjdziesz najgorzej....

— Chciałbym już leżeć w grobie....

— Tymczasem śpiesz się; a nie, to po łbie dostaniesz...

— Ciężko mi!.... — jęczał pan Marvel.

Ale utyskiwaniana na nic się nie zdały. Spróbował z innego tonu.

— Co ja na tem zyskam? — spytał zuchwale.

— Co ty zyskasz, mało mnie obchodzi; wiem tylko, co oberwiesz, jeżeli mi się zechcesz sprzeciwiać...

— Powiadam ci, że nie będziesz miał ze mnie pociechy...

— To już moja rzecz. Postaram się, żebyś mi się przydał; a w jaki sposób, zobaczymy...

W chwili tej po za drzewami zarysowała się wieżyczka świątyni.

— Będę trzymał rękę na twojem ramieniu... — mówił Głos — Idź prosto przed siebie i nie próbuj uciekać. Sam na tem wyszedłbyś najgorzej...

— Wiem, wiem, niestety... — westchnął pan Marvel.

Wędrowiec w pomiętym kapeluszu minął wioskę i zapuścił się w ciemną dal gościńca.

ROZDZIAŁ XIV.

W Port-Stowe.

Nazajutrz o dziesiątej z rana pan Marvel, nieumyty, nieuczesany, ze śladami zmęczenia na twarzy, siedział przed małą szynkownią na przedmieściu Port-Stowe.

Przy nim na ławce leżały książki, owiązane już nie szelkami pastora, lecz sznurkiem. Zawiniątko pozostało w lasku sosnowym za Bramblehurst, a to skutkiem zmiany planów Człowieka Niewidzialnego.

Choć nikt nie zwracał uwagi na pana Marvel, był on jednak bardzo wzburzony. Co chwila zanurzał ręce w kieszenie.

Przesiedział z dobrą godzinę. Wreszcie z gospody wyszedł stary marynarz z gazetą w ręku i usiadł przy nim.

— Ładny dzień... — zagadnął.

Pan Marvel obejrzał się wylękniony.

— Pogoda, odpowiednia do pory roku... — rzekł znowu po chwili marynarz.

— Istotnie... — potwierdził pan Marvel.

Majtek spojrzał na stare i zakurzone buty, na brudną twarz, potem rzucił okiem na książki, leżące przy oberwańcu.

W chwili, gdy się zbliżał do pana Marvel, usłyszał brzęk złota, chowanego pośpiesznie do kieszeni. Zdziwiła go sprzeczność pomiędzy wyglądem tego człowieka, a jego zamożnością. Był z natury ciekawym, więc postanowił tę rzecz zbadać.

— To pańskie książki? — spytał, sądząc, że tu znajdzie klucz do zagadki.

Pan Marvel spojrzał na niego ze strachem.

— Tak... — odpowiedział.

— Czasami w książkach bywają dziwa... — oświadczył marynarz.

— Zdarza się .. — mruknął pan Marvel.

(Ciąg dalszy nastąpi).